LEKTORZY MY

PISMO LEKTOREK I LEKTORÓW JĘZYKA POLSKIEGO JAKO OBCEGO

ZESZYT 1 LIPIEC 2024

BASIAK
BUDZYŃSKI
EWERTOWSKI
GUZIAK
KASPRZYK
KLYSZCZ-BOCHNIAK
KNAPIK
MIKULEC
PIĄTKOWSKA
RAIMAN
SIEGIEŃ
SZCZEPANIAK
TABOR
TOCZEK
WALIGÓRSKI
ZACHAREWICZ
ZHAO

PROF. WŁADYSŁAW MIODUNKA
LIST

PROF. SEKIGUCHI TOKIMASA
SŁUCH CZY WZROK

PROF. YI LIJUN 90-LECIE URODZIN
WYWIAD

ISSN 2957-210X

Z PAMIĘTNIKA LEKTORA • NIE DOWIESZ SIĘ Z PRZEWODNIKA • NIE SAMYM LEKTORZENIEM CZŁOWIEK ŻYJE

LEKTORZY MY

PISMO LEKTOREK I LEKTORÓW JĘZYKA POLSKIEGO JAKO OBCEGO
ZESZYT 1 LIPIEC 2024

LISTY

Od Redakcji ... 3
Dr Mariusz Czech – Dyrektor Biura Programów Języka Polskiego NAWA ... 5
Prof. Władysław Miodunka ... 6

VARIA

Marcin Raiman, *Miodunka tropical* ... 7

DZIAŁY I AUTORZY

GOŚCIE:

Prof. Tokimasa Sekiguchi, *Słuch czy wzrok?* ... 11
Zhao Weiting, *Wywiad z Profesor Yi Lijun* ... 43

CO JA TUTAJ ROBIĘ?:

Darek Kasprzyk, *Polski w kraju Drakuli* ... 13
Justyna Szczepaniak, *Bukareszt okiem lektorki. Trzęsienie ziemi, sarmale i „Znachor”* ... 59
Paulina Tabor, *Lektorat języka polskiego na Uniwersytecie Północno-Wschodnim w Shenyang* .. 65

NIE DOWIESZ SIĘ Z PRZEWODNIKA:

Justyna Klyszcz-Bochniak, *Marokańska wieża Babel* ... 25
Radosław Budzyński, *Notatka ze Stambułu* ... 51
Agnieszka Mikulec, *Wiosna, ach to ty!* ... 69

NIE SAMYM LEKTORZENIEM CZŁOWIEK ŻYJE:

Kinga Piątkowska, *Lektorka-Koczownica – Justi Guziak, prezentacja książki* ... 51
Miłosz Waligórski, *Wiersze* ... 53
Paweł Zacharewicz, *Wiersze xi'ańskie* ... 21
Krzesło na dachu ... 75

WARSZTATOWNIA:

Justyna Guziak, *Po-ruszone zajęcia. O ruchu, dramie i improwizacji na lekcjach JPJO* ... 33

WYMĄDRZAMY SIĘ:

Renata Siegień, *O Chinach po polsku i inne kantońskie projekty* ... 55

Z PAMIĘTNIKA LEKTORA:

Michał Basiak, *Moje pierwsze kroki po drugiej stronie Atlantyku* ... 39
Tomasz Ewertowski, *Z Poznania za Wielki Mur* ... 17

Z POLSKĄ W ŚWIAT:

Magdalena Knapik, *Nauczanie języka polskiego i kultury polskiej wśród Gruzinów* ... 31
Iwona Toczek, *Być lektorką w Kazachstanie* ... 79

WYDAWCA:
LektorzyMY
ul. Jana Henryka Dąbrowskiego 16
72-210 Dobra

REDAKCJA:
Justyna Guziak, Kinga Piątkowska, Marcin Raiman, Renata Siegień, Paweł Zacharewicz

ILUSTRACJA NA OKŁADCE ORAZ RYSUNKI:
Robert Romanowicz

OPRACOWANIE GRAFICZNE I SKŁAD:
Przemysław Krupski

ISSN 2957-210X

DRUK:
Agencja ARTE Biała Podl.

NARODOWA AGENCJA
WYMIANY AKADEMICKIEJ

nawa.gov.pl

OD REDAKCJI

Drogie Lektorki! Drodzy Lektorzy! Drodzy Czytelnicy!

Oddajemy do Waszych rąk pierwszy numer czasopisma „LektorzyMY". Stworzyliśmy je, by było miejscem, w którym możemy dzielić się swoimi lektorskimi doświadczeniami, aby lepiej poznać siebie i nasz wyjątkowy zawód. Dlaczego? Bo wiemy, że w każdym z nas, w tych kilkudziesięciu lektorskich ciałach i duszach drzemie niezmierzony potencjał i niesamowite historie do opowiedzenia, mnóstwo pomysłów, inicjatyw, wyzwań, sukcesów, które czekają, aby się nimi podzielić, talenty, które chcemy pokazać lub które chcemy poznać, odkryć.

Zaczęło się – jak to zwykle bywa – od pomysłu. Potem były nieśmiałe kroki, by z idei zrodził się jakiś kształt, zarys. Aby jednak powstał, trzeba było, aby kilkoro z nas dało porwać się tej inicjatywie, wówczas jeszcze tylko marzeniu, wzajemnie inspirować się, wspierać i podsycać ten ogień, i tak powstała nasza grupa. Różnimy się poglądami, usposobieniem, wiekiem, zainteresowaniami. Łączy nas lektorska przygoda i pasja do tego, co robimy. Po wielu godzinach spędzonych na redakcyjnych spotkaniach, dyskusjach, sporach, metodą prób i błędów – oto jest: pierwszy numer Pisma. Chcemy, aby było otwarte, odważne i żeby odpowiadało naszym lektorskim potrzebom. To Pismo o nas i dla nas.

W pierwszym Zeszycie zaproponowaliśmy działy, które mógłby wzbogacić każdy z nas. Będziemy opowiadać o lektoratach, o ich historii, kogo uczymy i jak właściwie wyglądają one od podszewki (Co ja tutaj robię?), odsłonimy tajniki naszej pracy, pokażemy jak uczymy, podzielimy się dobrymi praktykami (Warsztatownia), wspomnimy o naszych wrażeniach i przygodach (Z pamiętnika lektora), o tym jak to jest być Polką/Polakiem w dalekim świecie (Z Polską w świat), odsłonimy przed Wami nasze zakątki świata, które dzięki lektorzeniu poznaliśmy w sposób niedostępny zwykłym turystom (Nie dowiesz się z przewodnika), powymądrzamy się, czyli opowiemy o naszych sukcesach (Wymądrzamy się), ale pokażemy też, że nasze życie to nie tylko praca (Nie samym lektorzeniem człowiek żyje).

Zapraszamy wszystkich do współpracy i jednocześnie jesteśmy ogromnie wdzięczni tym Autorom, którzy przesłali swoje artykuły, zanim Pismo nabrało kształtu. Niewiele mogliśmy im jeszcze wtedy objaśnić, a mimo to artykuły spłynęły do nas, dając nam poczucie, że to, co dotychczas widzieliśmy tylko oczami wyobraźni, ma sens i jest potrzebne.

Dziękujemy za życzliwość, słowa otuchy i wsparcie, którego udzielił nam Dyrektor Biura Języka Polskiego NAWA, Pan Mariusz Czech. Było nam ono bardzo potrzebne na etapie ucieleśniania idei Pisma, dodało nam sił i wiary w siebie. Dziękujemy Panu Profesorowi Tokimasie Sekiguchiemu i Panu Profesorowi Władysławowi Miodunce za ich otwartość i natychmiastowe zaangażowanie się w prace nad tym projektem.

Profesor Miodunka patrzy na nas z góry i się uśmiecha. Jesteśmy tego pewni, ponieważ pochwalił nasz pomysł i wyraził gotowość opisania swojej lektorskiej historii, i zrobiłby to z pewnością, gdyby nie nastąpiła nagła zmiana planów, niezależna od niego. Dziękujemy Panie Profesorze! Dedykujemy Panu to Pismo.

Podziękowania kierujemy także do artysty Roberta Romanowicza, który zgodził się nieodpłatnie użyczyć nam swojej niezwykłej twórczości oraz do Przemka Krupskiego za skład, łamanie, za edytorską wrażliwość i kreatywność.

Jesteśmy wdzięczni i szczęśliwi, że możemy oddać do Waszych rąk pierwszy Zeszyt, pierwszego w historii Pisma lektorów języka polskiego jako obcego.

Życzymy wspaniałej lektury i zapraszamy do przesyłania tekstów.

Zespół Redakcyjny

Justyna Guziak

Kinga Piątkowska

Marcin Raiman

Renata Siegień

Paweł Zacharewicz

LIST DYREKTORA BIURA PROGRAMÓW JĘZYKA POLSKIEGO NAWA

Szanowni Państwo,

pismo dla lektorów i lektorek pracujących za granicą to bardzo dobry pomysł! Tym bardziej cieszy, że ta ciekawa inicjatywa wyszła od nich samych i wpisuje się w działania budowania wspólnoty zawodowej nauczycieli języka polskiego jako obcego wyjeżdżających w ramach programu Lektorzy NAWA. Myślę, że czasopismo „LektorzyMY" ma ogromną szansę stać się medium, które będzie gromadzić wokół siebie nie tylko lektorki i lektorów NAWA, ale będzie też odpowiedzią na potrzeby całego środowiska lektorskiego. Dla mnie to podwójna radość: jako osoby współodpowiedzialnej w NAWA za delegowanie lektorów do zagranicznych uczelni, ale też jako lektora, który również pracował za granicą. Z własnego doświadczenia wiem, jak ważne jest wsparcie środowiska zawodowego podczas pracy w zagranicznej uczelni, jak pomocne są informacje, którymi dzielą się nasi poprzednicy, mentorzy i przyjaciele. Mam głęboką nadzieję, że czasopismo, które powstaje z inicjatywy lektorów i dla lektorów będzie jedną z form wsparcia, platformą do wymiany myśli, doświadczeń, dobrych praktyk oraz przyczyni się do większej integracji tej wyjątkowej grupy zawodowej, jaką jest społeczność nauczycieli języka polskiego pracujących poza granicami Polski.

Redaktorkom i Redaktorom życzę niesłabnącego zapału i entuzjazmu oraz niezrażania się trudnościami. Czytelniczkom i Czytelnikom – interesujących tekstów, inspiracji i poczucia, że są częścią coraz liczniejszej i coraz bardziej świadomej siebie wspólnoty zawodowej. Wszystkich zaś zachęcam do zaangażowania się w ten ważny projekt, do dzielenia się swoimi doświadczeniami, wiedzą i umiejętnościami na łamach czasopisma „LektorzyMY".

Mariusz Czech
Dyrektor Biura Programów Języka Polskiego
NAWA

Prof. Władysław Miodunka
List do Redakcji

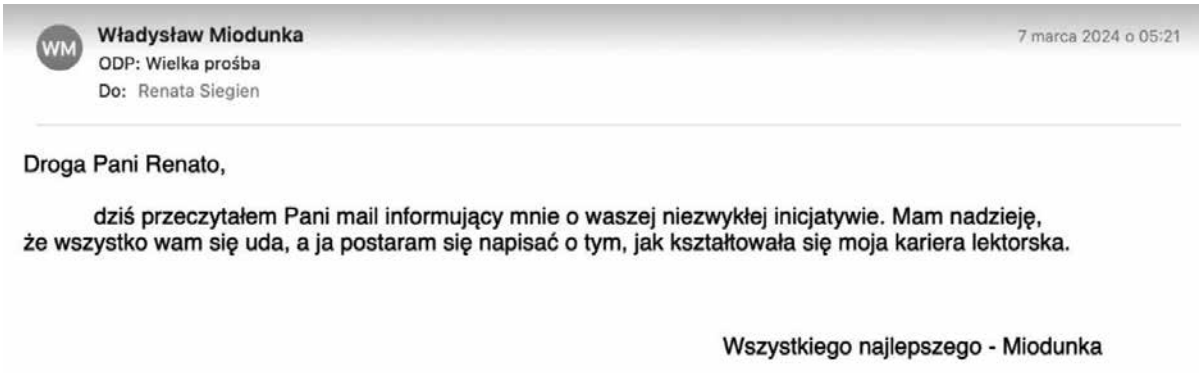

Władysław Miodunka
ODP: Wielka prośba
Do: Renata Siegien
7 marca 2024 o 05:21

Droga Pani Renato,

dziś przeczytałem Pani mail informujący mnie o waszej niezwykłej inicjatywie. Mam nadzieję, że wszystko wam się uda, a ja postaram się napisać o tym, jak kształtowała się moja kariera lektorska.

Wszystkiego najlepszego - Miodunka

Drodzy Czytelnicy, Lektorki i Lektorzy!

Ten krótki e-mail jest pięknym świadectwem otwartości i gotowości Profesora do wspierania każdej inicjatywy, która służy polskiej kulturze i polszczyźnie. Napisany miesiąc przed śmiercią pokazuje Jego niestrudzone zaangażowanie i szlachetnego ducha, a dla nas stanowi rodzaj błogosławieństwa dla naszej nieśmiałej jeszcze wtedy idei. Przez szacunek dla osoby Profesora Miodunki zdecydowaliśmy się uwzględnić ten króciutki e-mail i nazwać go Listem, bo też i jest Listem założycielskim naszego lektorskiego Pisma.

Zespół Redakcyjny

Marcin Raiman

UNIWERSYTET W TARTU, ESTONIA

Miodunka tropical

Na okładce monografii *Bilingwizm polsko-portugalski w Brazylii* widać grupę uśmiechniętych osób, które, jak informuje czytelnika opis zdjęcia, za moment wsiądą do samolotu i wyruszą w podróż z Kurytyby do dalekiej Polski. Podróż ta jest o tyle ciekawa, że jej głównym celem jest poznanie języka polskiego i kultury Polski – kraju przodków widocznych na fotografii Brazylijczyków. Można zatem powiedzieć, że nie jest to zwykły turystyczno-krajoznawczy wyjazd do Europy, lecz element czegoś znacznie ważniejszego: podróży przez historię własnej rodziny oraz odkrywanie swojej tożsamości. W tej podróży towarzyszył osobom ze zdjęcia także profesor Władysław Miodunka, nie tylko znawca, ale także przyjaciel Polonii brazylijskiej. A co łączyło profesora Miodunkę z Brazylią i jak jego praca wpłynęła na rozwój nauczania języka polskiego w tym kraju?

Wróćmy najpierw do wspomnianej już fotografii. Prawie wszystkie widoczne na niej osoby brały udział w dwuletnich studiach podyplomowych, zorganizowanych przez Uniwersytet Federalny Parany w Kurytybie (UFPR) w latach 1995-1996. Studia te skierowane były do nauczycieli języka polskiego w Brazylii i stanowiły jeden z pierwszych kroków w stronę trwałego zaistnienia języka i literatury polskiej w brazylijskim świecie akademickim. Profesor Miodunka przyleciał do Kurytyby w celu prowadzenia zajęć na tych właśnie studiach w pierwszym semestrze roku akademickiego 1995 oraz powtórnie w lipcu 1996 roku. Podczas swojego pobytu w Brazylii uczył, prowadził badania dwujęzyczności oraz poznawał ten kraj, jego mieszkańców i oczywiście język portugalski. Dzięki staraniom profesora Miodunki część jego byłych studentów z Kurytyby mogła uczestniczyć w intensywnym kursie języka polskiego organizowanym przez Wspólnotę Polską w lipcu 1997 roku w krakowskich Przegorzałach – był to pierwszy raz, gdy w kursie Wspólnoty Polskiej wzięli udział Brazylijczycy (tak, tak

Kurytyba, 2009 – Miodunka *tropical*

Konkurs na nowych pracowników Polonistyki UFPR w 2009 roku

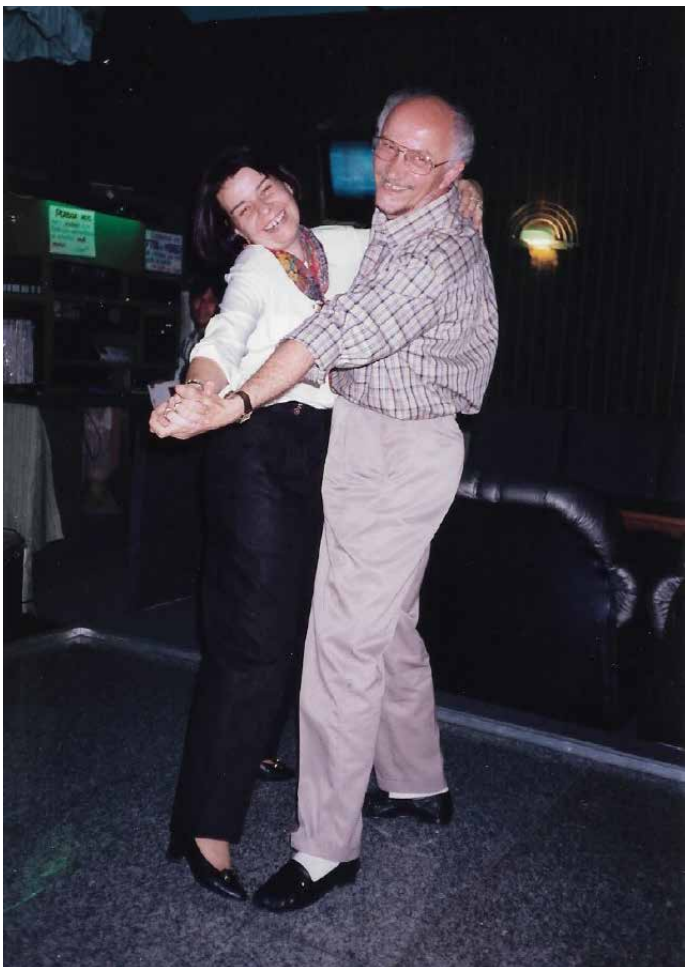

Profesor Miodunka podczas swojej imprezy pożegnalnej z Brazylią w 1995 roku

– ci ze zdjęcia), a rok później na kurs do Polski zaproszono także przedstawicieli innych krajów Ameryki Południowej.

Ponad 20 lat później, w sierpniu 2019 roku, w tych samych Przegorzałach na zorganizowanym przez NAWA spotkaniu lektorów i lektorek przemawiał również profesor Miodunka, wspominając o swoim pobycie w Kurytybie i o tamtejszej polonistyce, która swoje powstanie zawdzięcza także jego wsparciu. Warto wspomnieć, że ostatnia wizyta profesora Miodunki w Brazylii była jednocześnie początkiem istnienia jedynej jak dotąd brazylijskiej i południowoamerykańskiej polonistyki: na początku 2009 roku wziął udział w pracach komisji egzaminującej kandydatów na pracowników nowo powstałego kierunku. Następnym krokiem w rozwoju kurytybskich studiów polonistycznych było zwrócenie się o skierowanie na UFPR lektora języka polskiego, który miał pomóc głównie w prowadzeniu praktycznych zajęć językowych. Odpowiednie papiery wysłano do Ministerstwa Szkolnictwa Wyższego i Nauki w maju 2011 roku, ale zanim

więcej o tym, muszę najpierw wspomnieć, jak Brazylia i nauczanie polskiego pojawiły się w moim życiu.

Studia licencjackie na portugalistyce skończyłem w czerwcu 2010 roku i postanowiłem od razu zdawać na studia magisterskie na specjalności Nauczanie języka polskiego jako obcego i drugiego. Informacją tą podzieliłem się m.in. z Reginą Przybycień, wykładowczynią literatury brazylijskiej na krakowskiej portugalistyce. Profesor Przybycień opowiedziała mi o swoich doświadczeniach z uczeniem się języka polskiego i o profesorze Miodunce, który miał duży wpływ na jej odkrywanie polszczyzny i późniejszy przyjazd do Polski nie tylko na kurs językowy (tak, tak – Regina to jedna z osób ze zdjęcia!), ale także do pracy na UJ. Moje pierwsze spotkanie z profesorem Miodunką miało miejsce na egzaminie wstępnym na studia magisterskie, z którego pamiętam tylko jedno – ostatnie – pytanie związane ze znajomością języków obcych. Bardzo liczyłem na to, że będzie ono dotyczyło portugalskiego, ale profesor Miodunka w charakterystycznym dla siebie stylu poinformował mnie, że wie już od profesor Przybycień, jaki jest poziom mojego portugalskiego i zaproponował jednak krótką rozmowę po francusku. Znajomość tego języka okazała się przydatna raz jeszcze, już podczas moich studiów na polonistyce, a mianowicie w maju 2011 roku, gdy szukano dodatkowych kandydatów ze znajomością francuskiego na lektoraty do Francji. Po krótkim zastanowieniu się i skompletowaniu potrzebnych dokumentów poszedłem na rozmowę z profesorem Miodunką, który od razu zadzwonił do ministerstwa, żeby dopytać o szczegóły mojego ewentualnego wyjazdu do Tuluzy. Dokładnie w tym samym czasie do ministerstwa dotarły wspomniane wcześniej papiery z Kurytyby, a ponieważ było ogólnie wiadomo o zaangażowaniu profesora w sprawy brazylijskie, p. Ewa Zalewska nie omieszkała wspomnieć przy okazji

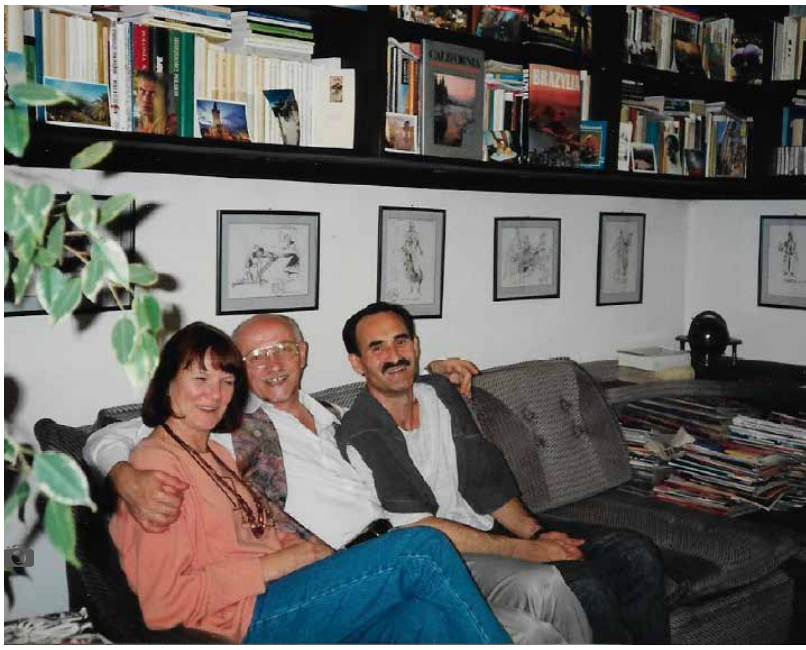

R. Przybycień, W. Miodunka i S. Mędak w Przegorzałach w 1997 roku

o tym, że Brazylia zostanie włączona do programu wysyłającego lektorów polskiego za granicę. W tym momencie profesor spojrzał na mnie i zapytał, czy może jednak nie wolałbym pojechać na lektorat do Kurytyby, na co oczywiście zgodziłem się bez chwili wahania.

Gdy 15 lutego 2012 roku wylądowałem w Kurytybie, na lotnisku czekały na mnie 2 osoby: Regina Przybycień i Eduardo Nadalin. Kilkanaście lat wcześniej to właśnie oni stali się jednymi z bohaterów monografii profesora Miodunki, a prywatnie jego przyjaciółmi. Później poznałem jeszcze wiele innych osób, które wspominały spotkania z profesorem w Brazylii czy też na kursach w Krakowie, mówiąc o nim po prostu Miodunka. Gdy poprosiłem Reginę o parę fotografii profesora Miodunki z jego pobytów w Brazylii, moją uwagę przykuł tytuł, jakim opisała jedno ze zdjęć z 2009 roku: *Miodunka tropical*. Pozwalam sobie nadać taki sam tytuł temu krótkiemu tekstowi, bo gdyby nie pobyt profesora Miodunki w egzotycznej Brazylii, nie miałbym zapewne okazji osobiście poznać tego kraju i brazylijskich przyjaciół profesora.

ROBERT ROMANOWICZ

Prof. Tokimasa Sekiguchi

TOKIJSKI UNIWERSYTET STUDIÓW MIĘDZYNARODOWYCH, JAPONIA

SŁUCH CZY WZROK?

Pomijam lekcje języka polskiego, jakich mi przyszło udzielać, pierwszy raz w życiu, w 1981 roku, bo to był półroczny intensywny kurs dla dyplomatów japońskich, a nie lektorat uniwersytecki.

Polonistyka powstała dziesięć lat później, w 1991 roku, na Tokijskim Uniwersytecie Studiów Międzynarodowych (TUFS). W latach 1992-2002 w ramach obowiązkowych zajęć tejże polonistyki uczyłem języka polskiego studentów z I roku, czyli początkujących.

Wspominając te czasy, pokutuję. Były bowiem ofiary moich „metod"... Nie mając żadnego wykształcenia w zakresie glottodydaktyki, ani nawet odbytego szkolenia przygotowawczego w tej profesji, zacząłem prowadzić zajęcia w sposób dość fundamentalistyczny. Nie używałem podręczników, nie pisałem nic na tablicy i tylko wskazywałem na przedmioty, o ile były w polu widzenia; bez przerwy mówiłem tylko po polsku, powtarzałem w kółko jakieś wyrazy czy zdania; kazałem studentom się skupiać na słuchu; polecałem, a właściwie zmuszałem ich do nagrywania każdej lekcji. Nie było pisma, były tylko dźwięki. Poza własną kabotyńską grą czasami puszczałem z magnetofonu fragmenty rozmowy czy piosenki i nic więcej. Egzaminy u mnie były wyłącznie ustne. (Na szczęście równolegle szły zajęcia dla początkujących w „normalnym" trybie.)

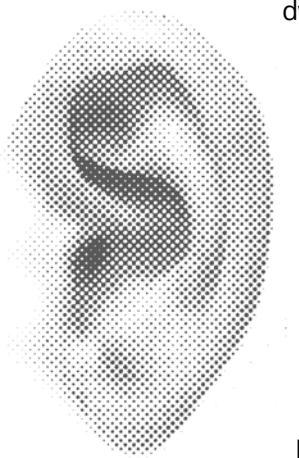

Musiała to być katorga dla niektórych, wręcz krzywdząca, z czego jednak zrazu nie bardzo zdawałem sobie sprawy. Ucieszyło mnie natomiast zwierzenie jednej studentki. Po kilku lekcjach ze mną powiedziała, że czekała właśnie na takie zajęcia i że w szkołach cierpiała z powodu tych nudnych i jałowych zajęć z angielskiego, na których ciągle tylko czytano (często w milczeniu) i pisano, a ona miała angielski oswojony „w życiu" i to w dzieciństwie. Po prostu odpowiadała jej moja metoda. Jej słowa były nagrodą i zachętą dla misjonarza metody „słuchowej".

Sam w sposób idealny zostałem wprowadzony do języka angielskiego, gdy miałem dwanaście lat, nieco później także do francuskiego, dzięki wspaniałym nauczycielkom – Japonce i Francuzce – które uczyły metodą bezpośrednią. Były to bardzo szczęśliwe spotkania z nowym językiem i z dobrym nauczycielem. Poza tym byłem młody i jestem człowiekiem „słuchu". Nałożyły się więc szczęśliwe czynniki i okoliczności. Być może każdy nauczyciel, ucząc, nieświadomie powtarza, odtwarza swoje początki uczenia się, jeśli one były szczęśliwe.

Jeśli chodzi o język polski, istniał jeszcze powód, dla którego uczyłem przede wszystkim tego, jak on brzmi, i dopiero później pokazywałem, jak on wygląda. Otóż uważałem, że zasady fleksji polskich słów o wiele łatwiej można się nauczyć ze słuchu i mówienia, aniżeli z pisma i pisania. W oswajaniu się z regularnością odmiany wyrazu pisownia więcej przeszkadza, niż pomaga – takie było i jest nadal moje przekonanie.

Jak słusznie narzekała owa studentka, w japońskich szkołach kładło się zbyt duży nacisk na naukę wzrokowo-tekstową. Na testach sprawdzają przede wszystkim wiedzę gramatyczną, ortografię i zasób słów, a egzaminy są niemal zawsze tylko pisemne. Poza tym to wszystko raczej zasadza się na biernej postawie rozumienia cudzych tekstów, a nie na wysiłkach czynnego aktu wypowiadania swoich zdań. Chciałem uczyć inaczej – na przekór panującemu modelowi nauki. To była niewątpliwie swego rodzaju pasja.

Pasja jednak rodzi błędy poprzez zaćmienie, zawężenie pola widzenia. Swoje błędy uświadomiłem sobie niestety dość późno, dopiero po paru latach, gdy pojawił się student, który chciał u mnie napisać pracę dyplomową. Ów student, pan X, na pierwszym roku miał ogromne problemy na moich zajęciach językowych. Widać było ewidentnie, że informacje brzmieniowe nie dochodziły do niego, nie rozróżniał fonemów, a także sam nie był w stanie nawet naśladować czyjejś wypowiedzi – ani be, ani me. Po prostu nie słyszał i innych, i siebie. Tak znacznie odstawał nawet w grupie, że ja sam nie mogłem go, i samego zjawiska, zrozumieć. Wydawało mi się, że niemożliwością jest być tak głuchym. Mogłem sobie co najwyżej wyobrażać, że to może być jakiś syndrom dysleksji typu słuchowego, że to może być wrodzone zaburzenie percepcji i pamięci słuchowej, itd. Było to naiwne przypuszczenie człowieka zupełnie pozbawionego fachowej kwalifikacji, by móc cokolwiek diagnozować i na tym się skończyło, to znaczy, takim został pan X w moich oczach aż do trzeciego roku. Pojechał do Polski na wakacje, bodajże w drugim albo trzecim roku i chodził na letni kurs języka polskiego dla obcokrajowców – tyle tylko wiedziałem o nim.

W pewnym semestrze zacząłem czytać „Lalkę" Bolesława Prusa ze studentami powyżej III roku w formie pół wykładu, pół ćwiczeń. Sam tłumaczyłem powieść na japoński kawałkami i na zajęciach rozdawałem ten roboczy przekład. Miałem nadzieję, że w ten sposób kiedyś, może za 10 lat, przetłumaczę całość. Byłem oczywiście w błędzie. Myśmy ledwo dotarli do końca rozdziału III. Wśród uczestników ćwiczeń był pan X i czytał tekst z wielką pilnością. Mało tego – wybrał moje seminarium i pewnego dnia mnie zapytał, czy może napisać pracę dyplomową u mnie na temat tego arcydzieła polskiej literatury dziewiętnastowiecznej. Byłem mile zaskoczony tym przejawem wyjątkowej inicjatywy, ponieważ studenci polonistyki generalnie nie wykazywali zainteresowań literaturą.

Z jednej strony ucieszony, a z drugiej zatroskany, wypytuję pana X o to i owo – mówię: „Przecież Pan nie studiował w Polsce, był Pan tylko na letnim kursie. Powieść się składa nie z 3, lecz z 38 rozdziałów. Jest napisana językiem sprzed 100 lat. Żeby napisać pracę, przynajmniej musi Pan przeczytać całą powieść. Jest Pan na to gotów?" A on… odpowiada, że tak. Jest determinacja.

W końcu pan X nie tylko „Lalkę" przeczytał (może nawet parę razy), czerpiąc ogromną radość z jej lektury, lecz napisał w terminie doskonałą pracę dyplomową, za którą otrzymał tytuł „B.A." Praca traktowała o wątkach nauki ścisłej i technologii w „Lalce" i była przez lata zamieszczana na internetowej witrynie uniwersyteckiej jako wzorowa rozprawa. Pan X okazał się posiadaczem nietuzinkowej zdolności analitycznego czytania literackich tekstów. To, że miał większe trudności ze zrozumieniem ze słuchu, w sumie nie miało dużego znaczenia wobec tego cennego przymiotu.

Była to dla mnie nauczka. Chyba byłem zbyt mało tolerancyjnym nauczycielem w stosunku do studentów, którzy się zaliczają do „wzrokowców". A jeśli ma być nieprawdą taka teoria podziału ludzkości na słuchowców i wzrokowców, to przynajmniej powinienem był rozpatrywać kwestię rodzajów predyspozycji do działalności językowej u każdego studenta osobno i bardziej ostrożnie.

Dariusz Kasprzyk

UNIWERSYTET IM. ALEXANDRU IOANA CUZY W JASSACH, RUMUNIA

POLSKI W KRAJU DRAKULI

Gdy wiele lat temu dowiedziałem się, że zostałem skierowany do pracy w rumuńskich Jassach, przyznam, że najpierw musiałem zerknąć na mapę, żeby wiedzieć, gdzie właściwie jadę. Starałem się wprawdzie o wyjazd do Rumunii, ale wówczas na liście był Bukareszt, a nie Jassy. Mój wyjazd do pracy był równocześnie pierwszą w życiu wyprawą do kraju popularnie zw. krajem Drakuli. Miałem ogólną wiedzę dotyczącą historii Rumunii, różne zasłyszane wiadomości, ale właściwie zupełnie nie wiedziałem, czego powinienem się spodziewać. Nowa praca, nowy kraj i nowi ludzie. Jak się okazało, tak zaczęła się wspaniała przygoda.

Gdybym miał powiedzieć, co sprawiło, że na tak długo pozostałem w Rumunii, to chyba przede wszystkim fakt jak serdecznie zostałem przyjęty. Ludzie są tu bardzo mili.

Rzeczy, które mnie zainteresowały w Rumunii, jest wiele i trudno o wszystkich opowiedzieć, ale chciałbym chociaż nakreślić kilka ciekawostek. Rumuni mają piękny zwyczaj życzenia sobie nawzajem wszystkiego dobrego przy różnych okazjach, przy których Polak raczej by nawet nie wpadł na to, że można coś powiedzieć. Jedną z takich okazji są święta narodowe, jak np. Święto Zjednoczenia obchodzone 1 grudnia. Musiałem się nauczyć wysyłać moim rumuńskim przyjaciołom tego dnia *La mulți ani*, zwłaszcza, że sam dostaję od nich życzenia na 11 listopada i 3 maja. Rozmowę czy spotkanie bardzo często kończy się życzeniami zdrowia, na uniwersytecie wszyscy życzą sobie spokojnego, łatwego roku akademickiego lub nowego semestru, na Dzień Kobiet życzenia składają sobie też wzajemnie kobiety, a w okolicach 1 marca wszyscy życzą sobie wspaniałej, pięknej wiosny.

Zaskoczeniem na pewno była dla mnie ilość chleba, jaką jedzą Rumuni i do czego go jedzą. Podczas gdy w Polsce jesteśmy przyzwyczajeni, że chleb je się jedynie do jednodaniowego obiadu i to do konkretnych potraw, jak np. bigos czy fasolka po bretońsku, w Rumunii chleb praktycznie zawsze towarzyszy obiadowi. Kiedyś miałem ochotę na grillowany filet z kurczaka i poprosiłem do niego o mamałygę, typowy element kuchni rumuńskiej. Pani w stołówce uniwersyteckiej wyraziła swoje głębokie oburzenie takim połączeniem, więc grzecznie się wycofałem i zamówiłem ziemniaki, ale już było jak najbardziej w porządku, gdy mężczyzna za mną poprosił o bułkę do spaghetti. W restauracjach należy pamiętać, żeby powiedzieć, że się nie chce chleba, bo brak tej informacji jest równoznaczny z tym, że się jednak chce.

Rumuni mają też bardziej zbliżone do Włochów podejście do kwestii czasu, co w różnych sytuacjach pozwala wyzbyć się niepotrzebnego stresu.

Ostatnią rzeczą, o której chciałbym wspomnieć jest… przeciąg. W Rumunii to niemalże jednostka chorobowa. Nieważne, z jakim problemem idzie się do lekarza, można usłyszeć w gabinecie pytanie, czy przypadkiem nie stało się gdzieś na przeciągu. Nie trzeba też nigdy nikogo zbytnio przekonywać do zamknięcia okna, bo raczej każdy rozumie, czym grozi przebywanie na przeciągu.

Chociaż jestem szczerze zakochany w Rumunii i ciężko mi jest pisać o rzeczach, które mi się nie podobają, równocześnie nie mogę udawać, że nie dostrzegam żadnych aspektów negatywnych. Rumuni przede wszystkim za mało doceniają swój kraj i zdecydowanie za mało intensywnie go promują. Są też narodem momentami aż za bardzo ugodowym, chociaż może tego nie widać w kłótniach na rumuńskich drogach. Gdy coś się Rumunowi nie podoba, bardzo często dochodzi do wniosku, że tak już po prostu musi być i nic się z tym nie da zrobić, a wyraża się to w powiedzeniu *Asta e*. (pol. *tak jest/tak musi być*). Takie podejście bywa denerwujące dla wielu obcokrajowców, którzy byliby raczej za zmianą sytuacji niż zgodą na coś, co im się nie podoba. *De facto* Rumuni takim podejściem krzywdzą przede wszystkim samych siebie.

Wreszcie element, który z pewnością nie jest charakterystyczny tylko dla rumuńskiej rzeczywistości, ale niestety jest w niej bardzo obecny, a mianowicie… biurokracja. Myślę, że tego raczej nie trzeba wyjaśniać.

Takich ciekawostek można znaleźć jeszcze wiele, ale przejdźmy do powodów, dlaczego Rumuni chcą uczyć się polskiego. Motywy oczywiście są różne, a większość z nich to klasyczne – ktoś wybiera się do Polski na Erasmusa, ktoś inny właśnie z Erasmusa

w Polsce wrócił i chce kontynuować naukę języka, jeszcze ktoś inny uczy się z powodów miłosnych. Są też studenci, którzy np. obejrzeli jakiś polski film w telewizji (bardzo często jest to „Znachor", jeszcze w starszej wersji) i zafascynował ich język filmu. Rumuni uważają nasz język za dosyć egzotyczny (tak zresztą w cudzysłowie jest określany w informatorze uniwersyteckim), wiedzą też, że nie należy do języków łatwych i czasami traktują naukę jako wyzwanie. W przypadku Jass warto dodać, że niestety oferta uniwersytetu w zakresie zajęć językowych nie jest bardzo bogata, zwłaszcza jeżeli porównamy ją z ofertą Uniwersytetu w Bukareszcie. W Jassach studenci obecnie mają jeszcze do wyboru zajęcia z języka tureckiego, greckiego, koreańskiego i norweskiego. Języki takie jak angielski, niemiecki, francuski, hiszpański, włoski czy rosyjski mogą być studiowane jako kierunki filologiczne, w związku z czym nie prowadzi się otwartych dla wszystkich chętnych zajęć lektoratowych. Na polski zgłaszają się też studenci z polskim pochodzeniem, którzy najczęściej przyjeżdżają na studia do Jass z pobliskiej rumuńskiej części Bukowiny, z województwa Suczawa. Osoby te znają polski na różnym poziomie, często mówi się u nich w domu po polsku, ale gwarą. Zajęcia służą im wtedy nie tylko do doskonalenia znajomości języka polskiego literackiego, ale też najzwyczajniej do zachowania kontaktu z językiem w ogóle.

Chyba każdy lektorat języka polskiego ma inną specyfikę. Spróbuję zatem nakreślić realia, w jakich działa lektorat w Jassach. Obecnie języka polskiego na Uniwersytecie Alexandru Ioana Cuzy naucza się tylko i wyłącznie fakultatywnie. Na zajęcia mogą uczęszczać studenci wszystkich wydziałów uniwersytetu, chociaż lektorat przede wszystkim dedykowany jest studentom wydziału filologicznego, którego jest też częścią. Władze wydziału zgodziły się również, żeby za darmo uczestniczyli w zajęciach zainteresowani licealiści, ponieważ jest to forma promocji uniwersytetu. Na polski mogą przychodzić również absolwenci albo osoby

całkowicie niezwiązane z uniwersytetem, ale muszą uiszczać w sekretariacie wydziału opłatę, która, obiektywnie należy przyznać, jest symboliczna. Jeszcze kilka lat temu zajęcia z języka polskiego były obowiązkowe dla studentów drugiego roku studiów licencjackich w zakresie filologii rosyjskiej. Przez krótki czas również opcjonalne dla studentów trzeciego roku. Sytuacja się jednak zmieniła, ponieważ odgórnie zmniejszono niestety liczbę zajęć językowych na filologiach. Godziny przeznaczone na polski były zawsze godzinami odstępowanymi przez rusycystów, zatem w momencie, gdy zmniejszono liczbę godzin języków, trzeba było zrezygnować z obowiązkowego polskiego, bo w przeciwnym razie nie zostałoby za wiele godzin na naukę rosyjskiego. Fakt, że polski jest tylko przedmiotem fa-

kultatywnym ma swoje plusy, jak i minusy. Obecnie na zajęcia przychodzą wyłącznie osoby od początku zainteresowane nauczeniem się polskiego. Wcześniej zdarzało się, że część studentów filologii rosyjskiej zupełnie nie rozumiała, czemu musi uczyć się jeszcze jednego języka słowiańskiego i zadaniem lektora było też zachęcenie nieprzekonanych. Z drugiej strony, dzięki obligatoryjności zajęć, od początku była dosyć spora grupa studentów uczestniczących w zajęciach i często udawało się ich przekonać, że język polski może się im w przyszłości przydać. Podczas mojego pobytu, w najlepszym momencie, na lektoracie uczyło się 67 osób.

Praca lektora w Jassach to nie tylko zajęcia na uczelni. Bardzo często lektorat staje się podstawą organizacji różnych polskich wydarzeń. W znakomity sposób przebiega współpraca z Instytutem Polskim w Bukareszcie, jak i Ambasadą RP. W pobliskiej, wspomnianej już Suczawie, działa centrala Związku Polaków w Rumunii, z którą lektorat jest w ścisłym i regularnym kontakcie, a na miejscu w Jassach istnieje Dom Polski, będący filią związku. Organizacja lokalna liczy około 30 członków. Studenci lektoratu mają możliwość spotykania się w Domu Polskim na wieczorach gier, karaoke, a nawet na wspólnym gotowaniu, oczywiście typowych dań polskiej kuchni. W Katedrze Slawistyki, w której mieści się siedziba lektoratu, spotykamy się także m.in. na polskiej wigilii, przyjmujemy na spotkaniach gości zarówno z Polski, jak i naszej mniejszości w Rumunii. Wydarzeniem, z którego cała polska społeczność jest wyjątkowo dumna, jest Wieczór Kultury Polskiej w Jassach. Z reguły organizowane są 2 edycje w roku – jedna na wiosnę w okolicach 3 maja, a druga w grudniu. W zależności od edycji prezentowana jest polska muzyka klasyczna, tańce ludowe, poezja, a w grudniu także polskie kolędy. Głównym organizatorem wydarzenia jest Związek Polaków w Rumunii przy ścisłej współpracy z lektoratem języka polskiego w Jassach oraz Liceum Artystycznym im. Octava Băncili, a zazwyczaj gospodarzem wydarzenia jest Pałac Kultury w Jassach. Każda edycja staje się prawdziwym świętem polskości. Mamy nawet już stałą widownię.

Z mojego punktu widzenia organizacja pozaprogramowych wydarzeń nadaje dodatkowy sens pracy lektora. Zapewnia swoistą obudowę zajęć z języka polskiego. Przygoda każdego studenta z polskim wygląda inaczej. Niektórzy dają radę uczęszczać na zajęcia tylko przez rok, inni przez kilka lat, dla jednych koniec studiów oznacza koniec kontaktu z językiem, dla innych być może pracę z polskim lub nawet wyjazd do Polski. Dla mnie najważniejsze jest, aby dzięki lektoratowi Polska kojarzyła im się jak najlepiej.

Tomasz Ewertowski

SZANGHAJSKI UNIWERSYTET STUDIÓW MIĘDZYNARODOWYCH, CHINY

Z POZNANIA ZA WIELKI MUR

Moja przygoda z glottodydaktyką języka polskiego zaczęła się na poważnie w październiku 2013 roku, gdy podjąłem pracę jako lektor na uniwersytecie w Zhaoqing w Chinach. Było to trochę niespodziewane; obroniwszy w maju doktorat, nie oczekiwałem, że po kilku miesiącach będę uczyć polskiego na wschodzie Azji. Myślałem raczej o miejscu na uczelni w Polsce, miałem nawet ofertę pracy w Krakowie.

Co zatem skłoniło mnie do wyjazdu?

Otóż moja glottodydaktyczna przygoda ma też swoją prehistorię. Dwa lata wcześniej ukończyłem studia podyplomowe z nauczania języka polskiego jako obcego i w tym czasie otarłem się o lektorzenie, trochę ucząc prywatnie. Ale tak naprawdę kluczowy był dwusemestralny pobyt w Belgradzie na czwartym roku studiów magisterskich. Wówczas pierwszy raz w życiu mieszkałem dłużej za granicą. Już po kilku miesiącach w Serbii wiedziałem, że mam ochotę na więcej. Chciałem znaleźć sposób, by w przyszłości pracować poza Polską. Przy humanistycznych studiach oraz zainteresowaniu literaturą i językiem (ukończyłem filologię polską, filologię serbską i filozofię) najatrakcyjniejszą opcją wydawał mi się właśnie lektorat języka polskiego. Chociaż pomysł narodził

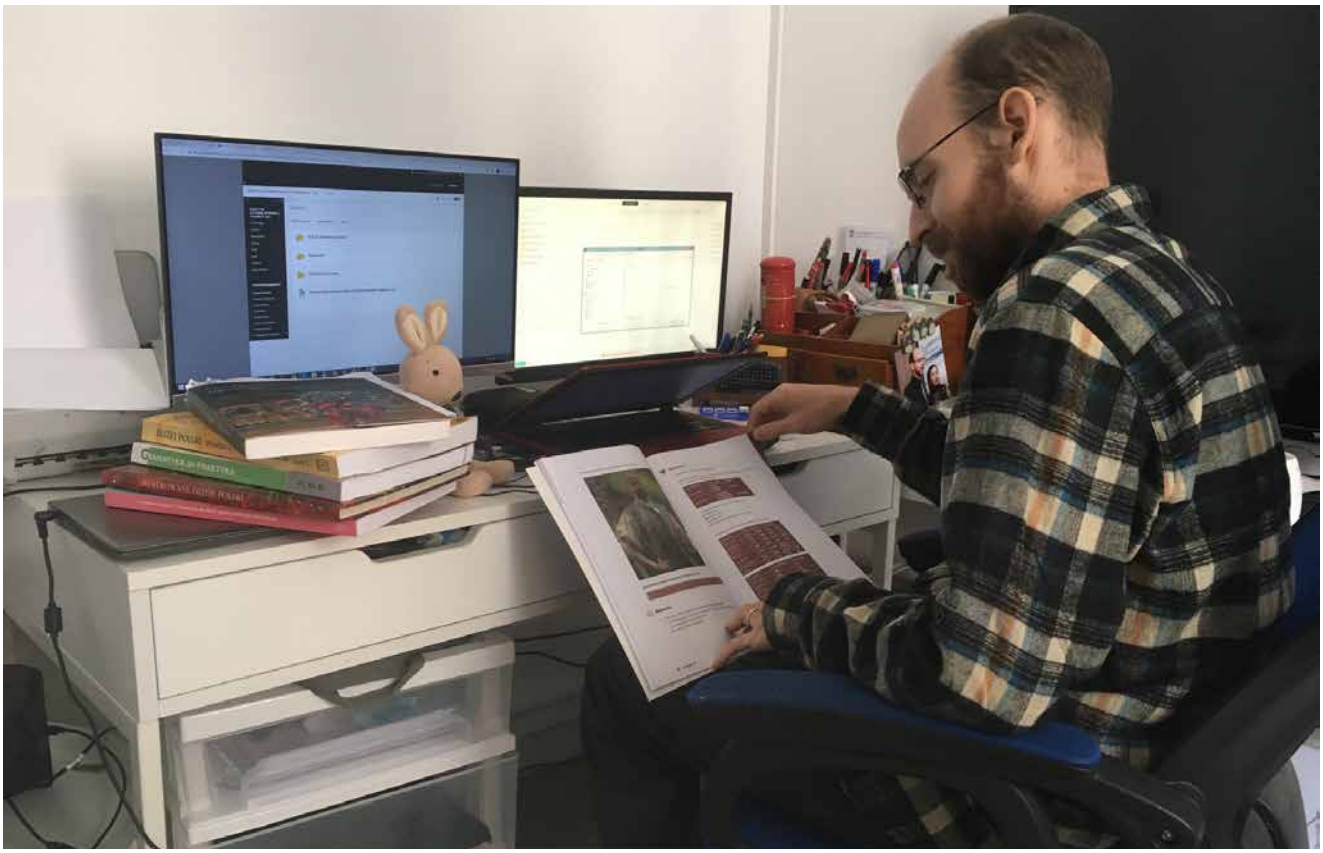

się w Serbii, to marzyłem o wyjeździe jak najdalej, najlepiej do Chin lub Indii. Dlatego gdy nieoczekiwanie obok opcji krakowskiej pojawiła się opcja chińska, to nie wahałem się długo. Można więc powiedzieć, że rozpoczęcie pracy w Zhaoqing było niespodzianką, ale niespodzianką wyczekiwaną, do której się zresztą przygotowywałem (stąd studia podyplomowe). Przyznaję też otwarcie: do zawodu lektora skłoniło mnie nie poczucie misji szerzenia języka polskiego w świecie, ale chęć przeżycia przygody.

W Zhaoqing spędziłem cztery lata, prowadziłem tam zajęcia z języka polskiego dla różnych grup na poziomach A1 i A2, współpracując z innymi lektorami z Polski. Następnie, w 2017 roku, przeniosłem się do Szanghaju, gdzie pracuję do dzisiaj.

Jak można porównać pracę w tych dwóch ośrodkach? Zhaoqing od Szanghaju dzieli 2 tysiące kilometrów, ale rzecz nie tyle w dystansie geograficznym, tylko w warunkach na uczelni. W Zhaoqing prowadziliśmy fakultatywny lektorat, zajęcia odbywały się zwykle 2-3 razy w tygodniu. W niewielkim, jak na chińskie warunki, mieście studenci szukali kontaktu z obcokrajowcami, dlatego co roku zapisywało się dużo osób. Niestety zwykle duża część szybko się wykruszała, a dla tych, co pozostali, polski był daleko na liście priorytetów. Ale mieliśmy też gwiazdy, osoby, które uczyły się przez kilka semestrów i wyjeżdżały do Polski na studia. Wprawdzie trudno było wejść na poziom wyższy niż A2 i czasami miałem poczucie orki na ugorze, to jednak do dzisiaj uśmiecham się, wspominając życzliwość i zainteresowanie studentów. Ponadto w Zhaoqing miałem wrażenie, że otwieram młodym ludziom okno na świat. Wielu z nich to były osoby z małych miejscowości, prawdopodobnie pierwsze pokolenie studiujące na uniwersytecie, stąd możliwość kontaktu z osobą z Polski stanowiła pewną rewelację.

W Szanghaju sytuacja wygląda inaczej, nie tylko dlatego, że to jeden z węzłowych punktów gospodarki światowej i jeden dystrykt tego megapolis pomieściłby całe Zhaoqing (i całą Warszawę). Szanghajski Uniwersytet Studiów Międzynarodowych znajduje się na prestiżowej liście 211, skupiającej

uczelnie uważane za kluczowe dla rozwoju kraju. Przede wszystkim, pracuję już nie na lektoracie, tylko na kierunku Język polski. Przez 4 lata towarzyszę grupie studentów w intensywnej nauce polszczyzny, prowadzę różne przedmioty, byłem też promotorem prac licencjackich. Cały czas muszę się rozwijać jako lektor. Z drugiej strony jednak w Zhaoqing język polski miał wyjątkową pozycję, pracując tam, dawałem studentom możliwość poznania czegoś, czego nie poznaliby w inny sposób. W Szanghaju już nie czuję się rodzynkiem (albo Marsjaninem, zależnie od sytuacji). Na uczelni wykładanych jest ponad 50 języków, mamy wykładowców ze wszystkich kontynentów poza Antarktydą.

By dopełnić obrazu moich doświadczeń lektorskich dodam, że w roku 2022 przez 4 miesiące prowadziłem jako wolontariusz lekcje języka polskiego online dla uchodźców z Białorusi i Ukrainy. Było to coś całkowicie innego niż dydaktyczna codzienność w Chinach. Choć nie jestem fanem nauczania online, to te zajęcia akurat dawały mi satysfakcję zawodową, lecz były też niesłychanie przygnębiające ze względu na wojnę.

Podczas pracy w Chinach miałem szczęście do współpracowników. W Zhaoqing pracowałem głownie z Karoliną Leśniewską, a także z Wojciechem Sajkowskim, Jakubem Sajkowskim, Lilianą Jaworską. W Szanghaju moimi koleżankami są Mao Rui, Jagna Malejka i Zhao Zhen. Bardzo dużo się od nich nauczyłem i na pewno byłbym dużo gorszym lektorem, gdybyśmy się nie spotkali. I ogólnie moje życie byłoby mniej kolorowe.

Paralelnie do kariery lektorskiej rozwijała się też moja kariera naukowa. Przed wyjazdem obroniłem doktorat z romantyzmu polskiego i serbskiego, ale już wtedy interesowały mnie postkolonializm i badania nad podróżopisarstwem, więc wyjazd do Azji wskazał mi nowe pole badawcze: polskie i serbskie relacje podróżnicze z Chin. Zresztą pobyt w Zhaoqing i Szanghaju miał nie tylko wpływ na kierunek moich badań, ale był także ważny pod względem organizacji pracy. Z jednej strony pobyt za Wielkim Murem był intelektualnie inspirujący i pozwolił mi na umiędzynarodowienie aktywności naukowej. Z drugiej strony wykładałem na uczelniach, na których nie istniało środowisko zajmujące się badaniami z zakresu literaturoznawstwa polskiego i serbskiego. Do dzisiaj mam więc dylematy, ja-lektor i ja-badacz nie zawsze dobrze współpracują ze sobą. Niemniej jednak w polu badań nad podróżopisarstwem mam pewne sukcesy, w 2020 roku opublikowałem monografię *Images of China in Polish and Serbian Travel Writings*, na podstawie której w 2023 roku uzyskałem stopień doktora habilitowanego.

Do dwóch ja z poprzedniego akapitu muszę dodać też trzecie, to najważniejsze: ja-mąż i ojciec. W Chinach poznałem swoją żonę i w zeszłym roku przyszedł na świat nasz syn. I tak oto niespodziewany wyjazd na lektorat w 2013 roku zaprowadził mnie na nową drogę życia.

Tomasz Ewertowski

Images of China in Polish and Serbian Travel Writings (1720-1949)

Brill, Leiden 2020

Images of China in Polish and Serbian Travel Writings (1720–1949) to znakomita, rzetelnie napisana książka, ukazująca zmieniający się wizerunek Chin w zróżnicowanych relacjach autorstwa polskich i serbskich podróżników, którym dane było odwiedzić Państwo Środka. Monografia imponująca rozmachem, wnikliwością analiz, bogatym kontekstem kulturowym, historycznym i realioznawczym jest zarazem wciągającą opowieścią o egzotycznej kulturze i ludziach, którzy próbowali ją opisać."

Z recenzji Magdaleny Bąk, „Pamiętnik Literacki" 3/2023

SPEED 2
ROBERT ROMANOWICZ

Paweł Zacharewicz

UNIWERSYTET STUDIÓW MIĘDZYNARODOWYCH W XI'ANIE, CHINY

WIERSZE XI'AŃSKIE I BIAŁY KARMAZYN

****

Dziwna zima nastała bez śniegu
Jak permanentna jesień
Liście na platanowcach nie opadły
Wiszą skulone brązowe i suche
Przyglądam im się z okien pokoju
Na ulicach bolesna pustka
Przemykają niekiedy postaci w białych
Skafandrach zawsze w grupach
Mierzymy temperaturę dwa razy dziennie
I każdego dnia schodzimy do lobby na testy
Moje Xi'an jak zmarznięty brunatny niedźwiedź
Wyrwany z zimowego snu zaskoczony
    i niespokojny
Zawiesił wzrok i patrzy w dal nasłuchuje
Płyną dni poprzez mgłę która wokół osiadła
Jak łódka Harona czy jak łódka Odysa?
Gdzie jest ten drugi brzeg i jak się nazywa?
To nie my piszemy opowieść
To opowieść nas pisze testując wnikliwie
Różne warianty i zakończenia

Xi'an, 4.01.2022

****

aleja siwych platanowców
jeszcze ciemno dwie skurczone postaci
zamiatają liście opadłe nocą
listopad tutaj jest inny niż w Polsce
wszystko tutaj jest inne niż w Polsce
przyspieszam kroku by zdążyć na autobus
w mroku po lewej stary człowiek unosi miecz
i wykonuje wolne ruchy w powietrzu

Xi'an, stary kampus XISU, 16.11.2020

****

jazgot wróbli w pochylonych bambusach
autobus jak zwykle w poniedziałek przyjechał
    później –
zmrok ustępuje. Poranek
wilgotny bo jeszcze mgły szukają miejsca
by dokończyć swoje sny
studenci spieszą się na zajęcia
chłód wdziera mi się za kołnierz
ostatnie dni listopada
coraz więcej miłorzębów stoi nagich
ich złote liście jak aureole świętych okryły ziemię
wokół pni – spowalniam kroku waham się
czy zrobić telefonem zdjęcie
nad moją głową nisko przeleciały dwa ptaki
zaraz zacznę lekcję

Xi'an, nowy kampus XISU
poniedziałek, 16.11.2020
8.30, egzamin cząstkowy

****

W tym roku wszystko idzie inaczej
Wiatr z Emei Shan opóźnia się
Na szpicu Dayanty kłócą się sroki
Laotsy nie poczekał na mnie
I jak tu wierzyć człowiekowi bez podstaw
Armia cesarza Qui zastygła gubiąc barwy
Nawet turkusowy smok zagubił się
Wiem, bo go szukałem, daremnie

Odmierzam czas przypływów i odpływów
Na pochylonych od deszczu bambusach
Budda Amitofu jak tutaj wołają
Słucha monotonnych modlitw
Na święty popiół kadzideł ktoś rzucił
Parę groszy. Cykady ulotniły się wieczory ciche
Listopadowe dni tuż tuż

Xi'an 28.10.2021
autobus na uczelnię, godz. 09:21

****

znowu zmierzch

trawa przytula się
do rozmowy młodych kobiet

powietrze drga w bezruchu

chińscy xian
unieśli chi

opada na moje włosy
brokat ulatujących dni

deszcz cykad! tańczy
bezgłośne Tao

Xi'an, 09.2018

****

Z ciała Bai Long unoszą się płomienie
Zawisł nieruchomo nad taflą rzeki
Z łagodnym wzrokiem skierowanym
Do środka. Uśmiecha się

Jakże to wszystko jest mylące
Wewnątrz trwa zajadła walka
Jak sądzisz – skąd te płomienie?
Jeśli toczysz wielkie boje
nie obciążaj nimi innych
Stal hartuje się w zamkniętych piecach
W ciszy w łonie ziemi dojrzewa
lśniący diament. Stój bezszelestnie
W skupieniu serca ochraniaj swój świat

Łagodny jak baranek
U podnóża Hua Shan
Potężny wojownik rozmawia z Tao

Xi'an, 21.06.2018

Sakura

W niebieskich akacjach jesteś cała, nieobecna
Aż moje spojrzenie otuliło je miękko
Wdycham głęboko ich tajemniczy zapach,
Przymrużając oczy. Sakura w świetle złotego
Światła szepce o tobie swoimi kwiatami,
Gdy wieczór czule dotyka Xi'anu.
Gdziekolwiek spojrzę, jesteś
Nie znam chińskiego, ale słucham z uwagą
By nie uronić ani słowa. Widziałaś te wirujące
Drobinki życia, które tańczą w naszych włosach,
Gdy chylimy je ku sobie, pozwalając im
    się splątać?
Chowam w sercu te chwile i grzeję się ich
Ciepłem w samotne wieczory, obserwując
Opadający cicho na mój biały dywan
Oddech nocy
Sakura drży, a płatki jej kwiatów umierają,
Zamieniając się w gwiazdy, którymi nazajutrz
Świecą twoje oczy

Xi'an – Beijing, kwiecień 2019

****

Gdzie zapłoną ogień świec i kadzidła
Gdy te się już wypalą
Jesteśmy tu na chwilę -
Wahających się by kochać
Zastaje śmierć

Jezus łamał prawa i zasady
Urodził się jak żebrak
Psocił z rówieśnikami zawieszając
Garnki na promieniach słońca
W wieku 14 lat uciekł
I ślad po nim zaginął

Prawo ustanowili ludzie
Bo Boga nie znali

Powrócił by ostatecznie przewrócić struktury
Całował publicznie Marię Magdalenę w usta
A Piotr co miał się Go zaprzeć by stać się opoką
Pękał ze złości podwójnie zazdrosny

Gdy ogień dogasa popiół przyjmuje kształt ziemi
Spróbuj postawić dom a potem w trzy dni go rozbierz
Nie jesteśmy różni od tej przestrzeni
Dlaczego zatem wydzierasz się i wierzgasz
Jak zaplątane we wnyki dzikie zwierzę
Co za szalona recepta na życie
Im mocniej uderzasz tym mocniej obrywasz
Jeśli nie ma w tobie miłości
Daremnie szukasz zrozumienia

(z cyklu *Biały Karmazyn*)

TOMIKI AUTORA

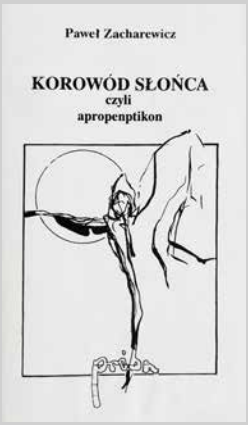

Korowód słońca czyli apropenptikon
Wydawnictwo UMCS,
Lublin 1993.

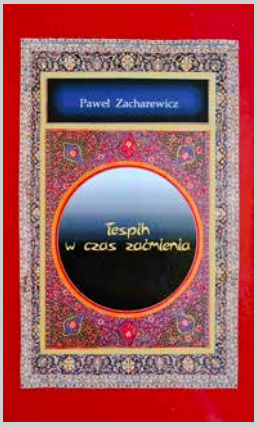

Tespih w czas zaćmienia
Kozirynek,
Radzyń Podlaski 2012.

Pierwsze miejsce w Konkursie im. Anny Kamieńskiej na najlepszą książkę poetycką Lubelszczyzny za rok 2012.

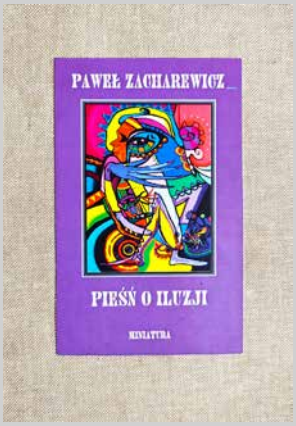

Pieśń o iluzji
Miniatura,
Kraków 2013.

ROBERT ROMANOWICZ

Justyna Klyszcz-Bochniak

UNIWERSYTET MOHAMMEDA V W RABACIE, MAROKO

MAROKAŃSKA WIEŻA BABEL

W porcie w Tangerze jest gwarno. W powietrzu czuć ekscytację turystów, dla których wszystko jest przygodą, i zdenerwowanie tych, którzy pokonują regularnie Cieśninę Gibraltarską i wiedzą, że za chwilę zderzą się z powolną machiną biurokracji. Klaksony rozbrzmiewają coraz liczniej, kolejka aut się wydłuża, czuć spaliny, żar powietrza i morze. Celnik podchodzi do podróżnych i, widząc zagraniczny numer rejestracyjny, z silnym akcentem pyta po francusku o dokumenty i motyw podróży. Jego słownictwo jest ograniczone, posługuje się wyuczonymi zwrotami. Turystka jest zaskoczona, nie wie czy bardziej tym, że policjant nie zwraca się do nich po arabsku, czy tym, że mówiąc po francusku, nie brzmi zbyt naturalnie?

W końcu znowu są w ruchu, przed nimi bezkres ziemi w kolorze ochry i wizja niekończącej się drogi na południe, czyli tego, co w wyobrażeniach wszystkich jest Marokiem. Znaki drogowe prowadzą po francusku i po arabsku przez Rabat i Casablankę, na stacjach benzynowych z telefonów włączonych na głośnomówiący często rozbrzmiewa francuski. Jadąc jednak dalej, nagle drogowskazy gubią napisane łacińskim alfabetem nazwy miast, a w ich miejsce pojawia się niezidentyfikowany ciąg znaków. Turyści zatrzymują się, by spytać o drogę, przyjmujemy bowiem hipotetycznie, że znają podstawy arabskiego. Zaczepiona osoba, owszem rozumie ich pytania i jest bardzo chętna do pomocy, ale gdy zaczyna tłumaczyć, nic z tego nie wynika. Turyści rozumieją jedynie jakieś strzępy informacji.

– Français?

– La!

Opisana wyżej historia nigdy nie miała miejsca, ale jest bardzo prawdopodobne, że mogłaby wydarzyć się naprawdę. Maroko to kraj dyglosji, co w praktyce oznacza tyle, że nauczywszy się francuskiego lub arabskiego, będziemy mieć spory problem, żeby porozumieć się w jednym z tych języków lub wręcz przeciwnie, bezbłędnie dogadamy się w każdym.

Mieszkańcy Maroka funkcjonują w czterech głównych obszarach językowych: arabski klasyczny, arabski marokański (tzw. *darija*, czyli dialekt), francuski i język *amazigh*, inaczej zw. berberyjskim, zapisywany dawnym alfabetem Tuaregów. Z tych czterech, jedynie arabski klasyczny i, od 2011 roku, język *amazigh* są oficjalnymi językami kraju, przy czym po arabsku nie mówi nikt, a berberyjskim posługuje się jedynie niecałe 3,5 miliona mieszkańców.

Język arabski od zawsze cieszy się najwyższym prestiżem. Jest to język pisma, Koranu, administracji, mediów publicznych, język polityki, a więc wszystkiego, co obdarzone jest największym szacunkiem. Nie jest to jednak narzędzie codziennej komunikacji. Arabski, mimo powszechnej opinii, czy też stosowanego skrótu myślowego, nie jest językiem ojczystym, gdyż żadne dziecko nie „wysysa go z mlekiem matki", nie jest nim karmione ani usypiane, karcone, czy przytulane. W marokańskich domach nie mówi się po arabsku, tego języka dziecko zaczyna uczyć się w szkole, a ten praktycznie od razu staje się jednym z tych mniej lubianych przedmiotów. Wynika to zapew-

ne, między innymi, z bardzo tradycyjnych, żeby nie powiedzieć przestarzałych, metod nauczania, oraz z faktu, iż uczy się arabskiego jak języka ojczystego, pierwszego, a wiadomo, że ten językiem ojczystym nie jest. Tak więc owszem, w przestrzeni publicznej, wszystkie pisane komunikaty będą w języku arabskim, podobnie, jak artykuły prasowe czy formularze w urzędach. Dzieci uczą się go w szkole, operują nim, ucząc się matematyki, czy przyrody, czytają książki po arabsku. Ale słuchając ludzi w kawiarniach, bawiących się dzieci na placach zabaw, czy studentów czekających przed salą na kolejne zajęcia, nie usłyszymy języka arabskiego, a dialekt, inaczej zw. marokańskim arabskim lub daridżą. Jest to pochodna arabskiego z domieszką języka francuskiego, hiszpańskiego, portugalskiego i innych.

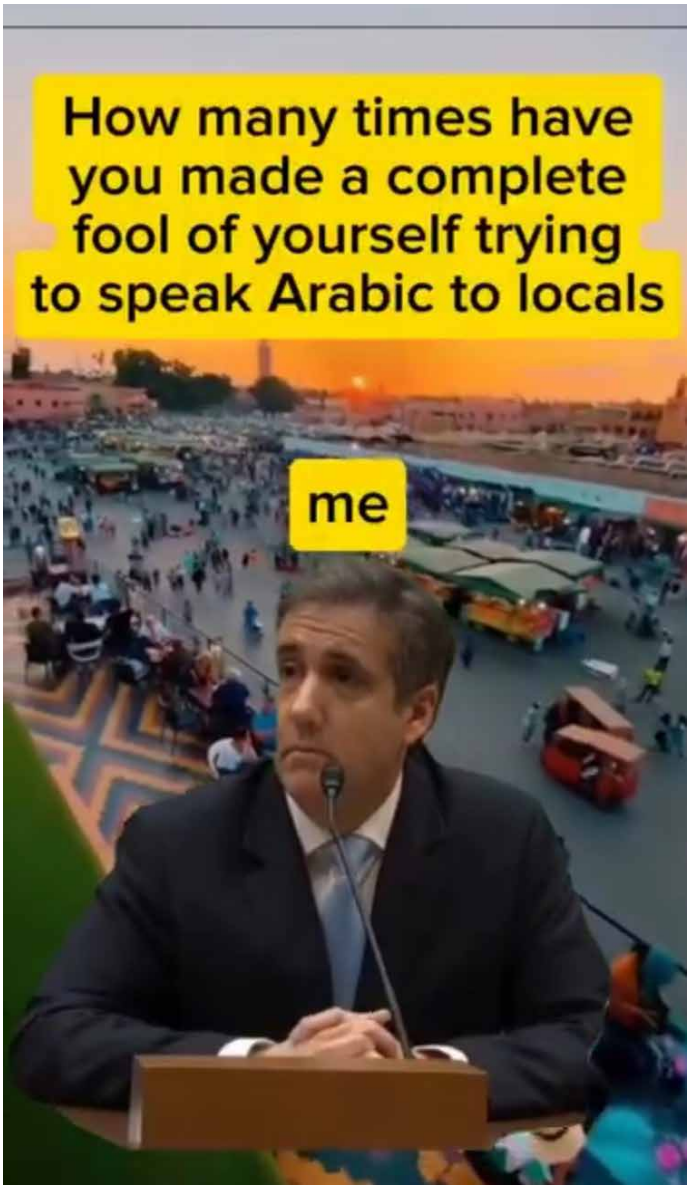

Daridża jest więc, w przeciwieństwie do arabskiego, narzędziem komunikacji ustnej. Lecz, mimo że posługują się nią prawie wszyscy, nie jest uznawana za język oficjalny kraju, co więcej, w ogóle nie ma statusu języka, a jedynie dialektu. Nie ma to jednak znaczenia, na co dzień usłyszymy ją wszędzie, mimo, że w każdym regionie w nieco zmienionej wersji. Jeśli więc chcemy móc porozumieć się z mieszkańcami, niezależnie od ich statusu społecznego i miejsca zamieszkania, to daridży powinniśmy się zacząć uczyć, a nie arabskiego czy francuskiego. Zresztą, w dużych miastach jak grzyby po deszczu powstają szkoły językowe oferujące zajęcia dla ekspatów właśnie z marokańskiego arabskiego. Daridża wychodzi z cienia. W 2011 roku debata dotycząca miejsca dialektu w życiu mieszkańców przeniosła się do sfery publicznej. Coraz więcej ludzi zadaje sobie pytanie, czy skoro jest to właściwy język ojczysty Marokańczyków, nie powinien zostać uznany za oficjalny i w końcu wprowadzony do szkół? Nauczanie poszczególnych przedmiotów odbywa się po arabsku, ale nauczyciele, mimo że teoretycznie jest to zabronione, w tłumaczeniach i tak uciekają się do dialektu, który jest dzieciom znany od zawsze. Póki co, mamy rok 2024 i dialekt pozostaje dialektem, ale młodzi wzięli sprawy w swoje ręce – powstają radia nadające tylko w daridży, media społecznościowe lajkują i postują po marokańsku, tureckie czy indyjskie seriale puszczane są z napisami marokańskimi (dialekt zapisuje się alfabetem łacińskim, zastępując typowo arabskie dźwięki cyframi), znowu jakby w kontrze do filmów w szerokiej dystrybucji tłumaczonych na arabski. To daridża jest dla młodych artystów językiem ekspresji – bardziej bezpośrednim i prawdziwym. Dziwić może jedynie fakt, że w marokańskim świecie literackim wciąż powstają książki jedynie po arabsku i francusku i nawet młodzi uważają, że jest to sztuka zbyt wysoka, by miała

być popełniana w dialekcie, który nie posiada ku temu odpowiednich narzędzi.

Jakiś czas temu spędzałam wakacje w wysokich górach w Atlasie. Właściciel hoteliku, w którym się zatrzymałam, miał kilkuletnią córeczkę. Wiedząc, że w tej części kraju raczej ciężko będzie mi się porozumieć po francusku, postanowiłam wykorzystać moją bardzo ograniczoną, ale jednak istniejącą, znajomość dialektu. Zagaduję do dziewczynki, pytając jak ma na imię, ile ma lat. Dziewczynka patrzy z zaciekawieniem, ale nie odpowiada. Pomyślałam, że z pewnością coś źle wymawiam i już miałam próbować jeszcze raz, gdy nagle z pomocą przyszedł mi jej tata tłumacząc, że córka nie rozumie, że ona w daridży nie mówi. Wprowadziło mnie to w osłupienie. Wiedziałam już wtedy jaka jest różnica między językiem arabskim i arabskim marokańskim, wiedziałam też, w przeciwieństwie do moich wcześniejszych przekonań, że nie wszyscy w Maroku mówią po francusku, ale było dla mnie absolutnym szokiem, że ktoś może nie znać ani dialektu, ani arabskiego, ani francuskiego. Okazało się, że dziewczynka mówi jedynie po berberyjsku, jak zresztą sporo jej rówieśników w tym regionie kraju. Z czasem dzieci te idą do szkoły, zaczynają się uczyć arabskiego, mają kontakt z pop kulturą i przyswajają szybko daridżę, a więc ich zrozumienie osiąga poziom ogólnokrajowy. Nie można jednak zignorować faktu, iż przez krótką chwilę życia, dzieci te pozostają w innym świecie językowym niż ich rówieśnicy oddaleni o zaledwie kilkaset kilometrów.

Po przyjeździe do Maroka, po dość powierzchownej lub krótkotrwałej obserwacji, można stwierdzić, że zaraz obok daridży, podstawowym językiem komunikacji jest francuski i że posługują się nim praktycznie wszyscy, przynajmniej w przestrzeni miejskiej: szyldy, menu w restauracjach, znaki drogowe, oferty banków, czy repertuar kin, wszystko jest po arabsku i francusku lub jedynie w tym drugim języku. Celnik na granicy bez problemu zapyta o dokumenty, taksówkarz zawiezie nas na miejsce, a sprzedawca na targu nie będzie miał problemów z podaniem nazw produktów i cen. Wsłuchując się jednak uważniej, zauważymy, że jest to dość ograniczony zestaw zwrotów, przyswojony na potrzeby turystów czy ekspatów lub jest to troszkę zmarokanizowana wersja tego, co dla nas do tej pory było francuskim standardowym. Status języka Moliera jest w Maroku nieokreślony. Nie jest to język oficjalny, ale jest jedynym narzędziem służącym zarówno do komunikacji ustnej i pisemnej, choć niestety znany jest naprawdę dobrze tylko części społeczeństwa. Wiadomo, że został on narzucony społeczności lokalnej w czasach protektoratu, czyli francuskiego panowania w Maroku. W latach osiemdziesiątych nastąpiła tzw. arabizacja, dotycząca głównie oświaty. W szkołach publicznych więc, zamiast języka francuskiego, zaczęto używać arabskiego (francuski pozostał w postaci kilku godzin języka obcego w tygodniu), ale ta reforma nie dotyczy uczelni wyższych. W praktyce jest więc tak, że osoba kończąca marokańską szkołę podstawową ma problem z dostaniem się na studia na ekonomiczny czy inżynieryjny kierunek. I tu znowu społeczeństwo radzi sobie jak może. Obok szkół publicznych są więc szkoły prywatne, w których, żeby zadowolić wszystkich i spełnić wszystkie ewentualne kryteria, nauka odbywa się po arabsku i po francusku. Jest to trudne i wymagające dla dzieci, bo jak pisałam wcześniej, nauka zarówno arabskiego jak i francuskiego to nauka języków pierwszych, a mało które dziecko operuje jednym i drugim w domu, ale dzięki temu, po ukończeniu szkoły otwierają się przed dziećmi szersze możliwości. Francuski pozostaje więc dość elitarny, jest uważany za język klas wyższych lub bogatszych, które mogą pozwolić sobie na wysłanie dzieci do szkół prywatnych lub międzynarodowych. Ale i takie stwierdzenie niedługo może przestać być aktualne. Kiedy siedem lat temu zaczynałam swoją pracę na Uniwersytecie Mohammeda V

w Rabacie, wszyscy moi studenci mówili po francusku. Niektórzy lepiej inni gorzej, ale był to nasz język komunikacji pozalekcyjnej. Dziś, jeśli chcę coś wytłumaczyć lub przekazać jakąś informację wiem, że muszę to zrobić po angielsku, bo połowa sali nie zrozumie francuskiego. Wynika to po części z tego, że młodzi nie widzą potrzeby opanowania francuskiego, jest to dla nich język wroga-kolonizatora, język przeszłości. Studiują w dużej mierze kierunki humanistyczne wykładane po arabsku, a pierwszym językiem obcym, po który chcą sięgać jest angielski. Francuski nie jest modny, francuski jest *passé*.

Poszczególne etapy podróży po Maroku burzą nasze przekonania. Nie – Maroko nie jest krajem francuskojęzycznym, a przynajmniej nie w całości i nieoficjalnie. Nie – w Maroku nie mówi się po arabsku. Nie – narzędzie codziennej komunikacji, to nie język, a dialekt, którym dzieci nie posługują się w szkole. I tak – może się zdarzyć, że rodowity Marokańczyk nie zna daridży, a jedynie berberyjski…

W tym momencie może nasunąć się pytanie – czy ludzie tu w ogóle rozumieją się nawzajem? Spieszę uspokoić wszystkich wątpiących – tak obywatele „kraju zachodzącego słońca", mimo tego jak sytuacja może wyglądać, gdy składowe weźmie się pod lupę, są na takim samym etapie zrozumienia jak wszystkie inne znane nam społeczeństwa. Mnogość języków, owszem, w poszczególnych sytuacjach może być swego rodzaju utrudnieniem, a może raczej wyzwaniem, któremu Marokańczycy z powodzeniem stawiają czoła. Poza tym jednak, jest to niesamowita różnorodność i niezmierzone bogactwo. Będąc od małego wystawionym na co najmniej dwa, a często nawet trzy języki, ludzie w naturalny sposób zyskują pewne kompetencje, których inni są pozbawieni. Nie tylko są poliglotami, ale też nauka każdego następnego języka jest dla nich czymś naturalnym, wręcz prostym. Język polski nie należy do najłatwiejszych, a jednak podczas zajęć, czy to na poziomie A1, czy A2, mało co studentów dziwi, bo wiadomo, że w jednym ze znanych im języków istnieją podobne konstrukcje. Marokańscy studenci są nadzwyczajnie zdolni, co przy regularnej pracy daje niesamowite efekty.

Maroko to ocean, morze, góry wysokie i niskie, pustynia, oazy, rzeki, jeziora i tętniące życiem wielkie skupiska miejskie. To lazur wody otoczony ziemią w kolorze ochry na tle zielonych gór, o szczytach przyprószonych śniegiem. To przyprawiające o zawrót głowy zapachy i kolory: czerwień szafranu, żółć kurkumy, zieleń mięty. To upał Sahary i mróz szczytów Atlasu. To wreszcie mnogość języków, z których każdy jest wyjątkowy, każdy potrzebny na swój sposób.

JUSTYNA GUZIAK
GRENOBLE

Przed HR przestrzegano mnie od początku. Że kadrowa humorzasta, że naburmuszona, że lepiej z nią nie zadzierać, bo jak ona nie polubi, to w zawiłościach labiryntu francuskiej biurokracji polegnę. Z duszą na ramieniu ruszyłam więc dnia pierwszego do biura HR.

Zapukałam, weszłam. Przedstawiłam się po francusku. Nie podniosła nawet wzroku. Mój francuski był bynajmniej nie poetycki. Na pewno nie mogłam w nim wyrazić swojej fascynującej osobowości ;) Zdawałam sobie z tego sprawę. Nie, w ten sposób raczej na nikim wrażenia nie zrobię – pomyślałam. Trzeba inaczej…

– Dobroe utro. Menja zovut Justina Guzjak, ja novaja prepodavatel'nica pol'skogo jazyka. Mogu ja zanjat' minutku vashego vremeni? – tę samą formułkę, tym razem jednak z pewną finezją i miłym dla ucha akcentem powiedziałam po rosyjsku. Bingo – madam M. (z pochodzenia Rosjanka) spojrzała w moją stronę. Mamy kontakt – ufff…

– I gde ty tak horosho vyuchila russkij jazyk? – zapytała, przyglądając mi się badawczo.

Tu wyłożyłam krótką historię moich lektoratów od Samarkandy, przez Ułan Bator aż do Tbilisi, w których rosyjski był językiem mojej codzienności. W miarę jak mówiłam, madam M. wstała, zbliżyła się do mnie i mnie uściskała. Wystukała wiadomość w telefonie i w ciągu 3 minut jej pokój zapełnił się całkiem sporą grupą kobiet. Madam M. przedstawiła mnie:

– Eto Justina. Ona budet prepodavat' pol'skij jazyk. Ona nasha, govorit po russki. Budet v russkoj mafii. (To jest Justyna, będzie uczyć polskiego. Ona jest NASZA. Będzie w ruskiej mafii) – uśmiechnęła się, po czym BARDZO wymownie spojrzała na mnie i dodała – my svoih ne brosaem! (my swoich nie porzucamy!).

Pomijając moje poczucie egzystencji w dysfunkcjonalnym szpagacie emocjonalnym, dobre relacje z „ruską mafią" pozwalają mi jakoś nawigować po meandrach francuskiej biurokracji, która o prymat bez dwóch zdań może konkurować z indyjską.

ROBERT
ROMANOWICZ
Robert Romanowicz 2020

Magdalena Knapik

PAŃSTWOWY UNIWERSYTET IM. ILII CZAWCZAWADZE W TBILISI, GRUZJA

GRUZJA - NAUCZANIE JĘZYKA POLSKIEGO I KULTURY POLSKIEJ WŚRÓD GRUZINÓW

Gruzja, chociaż odległa od Polski ponad 2200 kilometrów, jest tak naprawdę jednym z krajów, gdzie Polski i polskiego jest bardzo dużo, a wzajemne związki obu krajów są długie i mają bogatą historię. Niezwykle prężnie działa Instytut Polski w Tbilisi – organizowane są liczne wydarzenia kulturalne, spotkania, koncerty ale też bardzo wspierane jest nauczanie języka polskiego i kultury polskiej. Moja wspaniała podróż językowo-kulturowa do Gruzji zaczęła się blisko 15 lat temu, kiedy Uniwersytet Śląski nawiązał ścisłą współpracę z Państwowym Uniwersytetem Ilii w Tbilisi. W ramach różnych programów praktycznie co roku gościłam tam z zajęciami, a setki studentów przybyły do Katowic. Od września 2023 roku przyjechałam jako lektor oddelegowany przez NAWA. Cieszy mnie, że Polska i polski „mają się bardzo dobrze, a nawet coraz lepiej w Gruzji".

CUDOWNA TAMAR I CUDOWNY GIORGI

Ucząc języka, zwracamy uwagę na różnice i podobieństwa, aby ułatwić proces nauczania, a przede wszystkim pokazać, że język polski nie jest tak trudny, jak pozna się „z czym się go je" i odkryje się, że jest po prostu fantastyczny i prosty. W języku gruzińskim słowo *cudi* oznacza dziwny, zły, niezbyt dobry – częściowo można by to przyrównać do polskiego słowa cudak czyli dziwak lub odmieniec czy cudaczny, jednak słowo cudowny, jest odbierane już jako niezwykły, niesamowity, wyjątkowy. Dlatego warto wcześniej przybliżyć te znaczenia Gruzinom, aby słowo „cudownie" z naszych ust odbierali jako komplement, a nie krytykę.

Kolejna kwestia, czy też ciekawostka językowa to brak rozróżniania rodzajów gramatycznych w języku gruzińskim, co ma naprawdę silny wpływ na tworzenie wypowiedzi przez studentów i wielokrotnie prowadzi do pomyłek, szczególnie przy używaniu czasu przeszłego lub właśnie przymiotników. Brak rodzajów prowadzi nas krok dalej, a mianowicie do kwestii imion w języku polskim i gruzińskim. Bardzo łatwo jest nam wytłumaczyć, że wszystkie imiona kończące się na -a w oficjalnej formie będą imionami żeńskimi, a na spółgłoskę imionami męskimi. Natomiast nie należy się dziwić pomyłkom słuchaczy gruzińskich (szczególnie, że my, Polacy, lubimy zdrobnienia imion, które mają już różnorodne końcówki), gdyż przykładowo Tinatin, Rusudan, Ketevan czy Tamar to imiona żeńskie, a Giorgi (potocznie Gio), Givi, Giga, Zwiadi to imiona męskie. Wielokrotnie studenci mają z tego powodu kompli-

kacje w Polsce, gdyż są tytułowani błędnie pani Giga czy pan Rusudan itp.

GRUZIŃSKA BARBÓRKA

Właściwie po gruzińsku to *Barbaroba*, a w Polsce na Śląsku Barbórka. To bardzo piękny przykład do nauczania kultury polskiej w odniesieniu do tradycji innego kraju. Oba wymienione święta łączy postać św. Barbary. Różnią się obchodami. W Gruzji św. Barbara jest patronką młodych dziewcząt, w tym dniu należy jeść *lobiani* (placek z fasolą) i rzeczywiście na każdym gruzińskim stole ono się pojawia. W Polsce tradycja ta powiązana jest z górnikami i uważa się ją za górnicze święto, ważne dla Ślązaków. Wczesnym rankiem tradycyjnie budzi mieszkańców orkiestra górnicza, a górnicy świętują swój dzień w karczmie piwnej.

CZAS MAJÓWKI

Maj to niezwykły czas w Polsce, gdyż jest dość dużo świąt w tym okresie: 1 maja – Święto Pracy, ale też rocznica wejścia Polski do Unii Europejskiej (w tym roku dwudziesta), 2 maja – Święto Flagi oraz Dzień Polonii i Polaków za granicą, 3 maja – Święto Konstytucji 3 Maja. W tym miesiącu przypada również święto okolicznościowe, jakim jest Dzień Matki (26 maja).

Z kolei w Gruzji dokładnie tego samego dnia przypada Dzień Niepodległości. Co więcej Gruzja pierwszy raz obchodziła ten dzień w 1918 roku, co dodatkowo przybliża nasze kraje.

Kolejnym ciekawym punktem łączącym mogą być tradycje majówek w Polsce – dawniej pikników i biesiadowania w plenerze, współcześnie poszerzone o aspekt grillowania. W Gruzji tradycja *supry* (uroczystej biesiady) i przygotowywania szaszłyków wiąże się praktycznie z każdą okazją do spotkań i świętowania, a w maju pogoda pozwala na częste spotkania tego typu.

Towarzyszą im różne potrawy gruzińskie, sałatki, przekąski, natomiast na ogniu głównie przygotowuje się mięso, ewentualnie dodatkowo pieczarki czy opieka warzywa do sałatki.

W Polsce żartujemy, że grillowanie to nasz sport narodowy i na grillu praktycznie możemy znaleźć wszystko – mięso, kiełbasę, kaszankę, warzywa, pieczarki, ser, oscypek, chleb czy szaszłyki (które różnią się od gruzińskich składem, ponieważ polskie wersje tego smakołyku składają się z pieczarek, kiełbasy, cebuli, mięsa, papryki, w Gruzji jest to tylko mięso). Jest to bardzo ciekawy temat do analizy zarówno historii obu krajów, jak i codziennych tradycji.

Polska jest naprawdę rozpoznawalna w Gruzji i w wielu miejscach można odkryć ciekawostki związane z Polską i Polakami. Gruzini uczą się polskiego bardzo chętnie i z zaciekawieniem zgłębiają historię i tradycje naszego kraju. Również wielu wyjątkowych Polaków zostawiło tam cenne ślady i zapisało się w historii Gruzji. Wystarczy wspomnieć chociażby o Ludwiku Młokosiewiczu, Władysławie Raczkiewiczu, Henryku Hryniewskim i wielu innych. Jest to jednak temat już na osobny artykuł.

Justyna Guziak

UNIVERSITÉ GRENOBLE ALPES, FRANCJA

PO-RUSZONE ZAJĘCIA. O RUCHU, DRAMIE I IMPROWIZACJI NA LEKCJACH JPJO

Nadal pamiętam, kiedy dawno, dawno temu po raz pierwszy stanęłam przed grupą studentów, aby podzielić się z nimi swoją wiedzą. Dwadzieścia kilka par zaciekawionych oczu wpatrujących się w dwudziestokilkuletniego przybysza z Polski. Oczy należały do moich studentów z Uniwersytetu Alishera Navoi w bajecznej Samarkandzie. Oczy zdawały się mówić: „to nasze piąte zajęcia… czy naprawdę myślisz, że możesz nas zaangażować w naukę czegokolwiek…?" Innym powodem ich braku zainteresowania był fakt, że na uczelni w owym czasie oceny miały oficjalne cenniki. Uczenie się było opcjonalne. O tym jednak jeszcze wtedy nie wiedziałam. Musiałam czytać z ich twarzy, dosłownie. Nie mieliśmy wspólnego języka, oczywiście nie mówiłam po uzbecku, mój rosyjski pozostawiał wiele do życzenia. Studenci nie byli zainteresowani porozumiewaniem się w żadnym języku, który znałam. Zrobiłam więc to, co uważałam za najlepsze i moim łamanym rosyjskim wypowiedziałam przeklęte przez wszystkich studentów zdanie: proszę otworzyć książki… To był moment, w którym mogłam ich stracić na zawsze. Tam, w Samarkandzie, zrozumiałam, że muszę stworzyć styl pracy i techniki, które przybliżą mnie do studentów na innym poziomie. Bez względu na wspólny

język lub jego brak, różnice kulturowe czy system wartości, który kultywujemy – musimy znaleźć coś, co nas łączy, co umożliwi komunikację. *Communicare* z łaciny to wymiana, dzielenie się i posiadanie czegoś wspólnego. Tylko co nas może połączyć? Stwierdziłam, że jedyną rzeczą wspólną dla mnie i moich studentów w Samarkandzie były nasze ludzkie emocje – i zaczęłam pracować nad takimi formami pracy, które zaprzęgłyby je do nauki języka. Chciałam włączyć je do moich lekcji w taki sposób, aby nauka stała się bliższa życiu. A ponieważ na studiach zajmowałam się teatrem alterna-

tywnym, o tym też traktowała moja praca magisterska, postanowiłam wykorzystać tę wiedzę i te doświadczenia na zajęciach językowych. Od tego momentu, niezależnie od tego, w jakim miejscu na Ziemi uczyłam, w Australii czy Mongolii, Gruzji czy Tajlandii, Indiach czy Francji, moje ulubione metody nauczania i mój styl zaczęły oscylować wokół czegoś, co nazywam uczeniem holistycznym, a obejmuje ono włączenie dramy edukacyjnej i improwizacji.

Język jest ważną częścią naszego ŻYCIA. To wyjątkowy ludzki dar, który pozwala nam się porozumiewać. Prawie nie należy do sal lekcyjnych, więc praktyki teatralne wydały mi się naturalnym elementem przynależnym do jego nauczania. Jako studentka zauważyłam, że zajęcia języków obcych (ale nie tylko) są w większości statyczne i często prowadzą do całkowitego braku zaangażowania w proces uczenia się. Studenci spędzają godziny, siedząc i stymulując tylko jeden lub dwa zmysły (wzrok i słuch). Nauka języka opiera się głównie na podręcznikach, czytaniu tekstów i słuchaniu nagrań. Praca z wykorzystaniem technik dramy i improwizacji wydawała mi się bliższa rzeczywistości. Czy kiedykolwiek używamy języka w prawdziwym życiu, siedząc przywiązani do krzesła przez kilka godzin? Może podczas przesłuchania, ale w codziennym życiu? Jak często taka sytuacja ma miejsce? Sama tego obecnie doświadczam na kursie języka francuskiego – 120 minut w sali tortur, gdzie ani ja, ani moi „kogrupanci", ani lektorka nie podnoszą się z krzesła (odpadło nawet pisanie na tablicy, można przecież wykorzystać laptopa). Moja miłość do tego języka stacza się po równi pochyłej. Więc moje pytanie brzmi: dlaczego powinnam uczyć właśnie w ten sposób?

Co się sprawdza na moich zajęciach? Kiedy tylko to możliwe staram się dołączyć RUCH – jakikolwiek, nawet najmniejszy. Załóżmy, że mamy do przećwiczenia jakąś formę gramatyczną. W każdym podręczniku znajdziemy teksty naszpikowane narzędnikiem, zaimkami, formami czasowników etc. Zdarza się, że zamiast poprosić studentów o ich odszukanie, podkreślenie itp. robię

to trochę dynamiczniej. Stajemy w kręgu, każda z osób ustawia ręce w pozycji, którą nazywam „palec na talerzu" – jedna osoba dotyka wewnętrznej powierzchni dłoni palcem na otwartej dłoni drugiej osoby. Czytam tekst i za każdym razem, kiedy uczący się słyszą to, czego szukamy (specyficzna forma czasownika, przypadek), muszą jednocześnie postarać się złapać palec sąsiada i zdążyć przed pochwyceniem własnego palca przez osobę z drugiej strony. To wersja mojej zabawy z dzieciństwa. Często pytam moich studentów, w co bawili się w dzieciństwie – i adaptuję te gry do zadań z podręczników.

Ruch, ruch, ruch. Jednym z ulubionych ćwiczeń moich studentów jest zadanie, które nazwałam „krok w tył". Najczęściej stosuję je do czytania dialogów. Wychodzimy z ławek, często nawet z sali. Czytamy dialog (tekst) w parach. Zadanie zaczyna się, kiedy studenci stoją twarzą w twarz, bardzo blisko siebie. Zaczynają czytać. Po każdym wersie (linijce dialogu) robią krok w tył. Kiedy odległość się zwiększa, konieczne jest coraz głośniejsze czytanie. Jeśli student nie usłyszy, musi to wyrazić gestem lub zwrotem „jeszcze raz", „proszę powtórzyć" itp. Po osiągnięciu maksimum studenci kontynuują czytanie, robiąc krok w kierunku partnera. Ćwiczenie trenuje bardzo naturalne zachowania – w komunikacji w życiu również używamy gestów i mimiki, prostych fraz i dobrze już od początku umożliwić włączenie ich do komunikacji w języku, którego się uczymy. Zauważyłam, że to też szansa dla bardziej nieśmiałych studentów – zazwyczaj odpowiadają cichutko i bez przekonania. W tym zadaniu muszą podnieść głos i bardzo im się to przydaje. Ciche, odizolowane od świata sale lekcyjne też mają niewiele wspólnego z rzeczywistością, w której z językiem i komunikacją się spotykamy.

Od wielu lat wykorzystuję gry i techniki z teatru, zwłaszcza improwizacji. Teatr improwizowany poprzedza wynalezienie pisma, ponieważ na długo przed tym, jak ludzie zaczęli pisać scenariusze, opowiadali historie, odgrywając je. Najbardziej bezpośrednim przodkiem współczesnego „impro" jest prawdopodobnie komedia dell'arte, popularna w Europie od połowy XV wieku. Trupy wykonawców podróżowały od miasta do miasta, prezentując przedstawienia na publicznych placach i prowizorycznych scenach. Improwizowali spektakle w ramach ustalonego scenariusza. Ja również mam przygotowany scenariusz, jednak zajęcia tworzę wspólnie z ich uczestnikami. W improwizacji zadaniem numer 1 jest stworzenie grupy, której członkowie się znają, ufają sobie – dzięki temu redukowany jest stres, wstyd i lęk przed popełnieniem błędu. I właśnie tym się zajmuję od samego początku – benefity pracy ze zintegrowaną grupą są ogromne. Dlatego zamiast standardowego przedstawiania się stosuję inne warianty. Jednym z nich jest „przyjęcie" – z bardziej zaawansowanymi grupami nigdy nie zaczynam nowych zajęć od zwyczajnego „jak masz na imię, skąd jesteś". Zamiast tego zapraszam studentów na „przyjęcie", losują karteczki z pytaniami, które będą zadawać, krążąc po sali – jak to czynimy na typowym *standing party* u ambasadora. Pytania nie dotyczą pochodzenia czy zainteresowań. Są raczej osobiste, np. „która twoja blizna opowiada najciekawsze historie?", „co powiedziałaby o tobie twoja babcia?", „jaka jest twoja ulubiona historia rodzinna"?, „które zdjęcie na twoim telefonie lubisz najbardziej"?, „czy wierzysz w karmę"? itp. Wszyscy się poznajemy i osobiście uważam, że gdyby wnieść rozmowy na bardziej osobisty poziom, nasze relacje byłyby znacznie lepsze. Oczywiście można dyskutować o pogodzie, tylko czy warto? I w tym zadaniu znowu się ruszamy, znowu się śmiejemy, endorfiny płyną, cokolwiek następuje po tym – zapamiętujemy to lepiej. Zauważyłam, że im bardziej osobiste tematy, tym trudniej skończyć to zadanie – lubimy mówić o sobie, a możliwość opowiedzenia fragmentu własnej historii daje szansę na bycie zauważonym. Z tego też powodu naukę mowy zależnej efektywniej i zabaw-

niej można przećwiczyć, kiedy studenci krążą wokół, słuchają informacji przekazanej na ucho typu „Ania powiedziała mi, że masz ładną sukienkę", niż robiąc wyłącznie ćwiczenia pisemne. Te często zostawiam na zadania domowe, dryl jest cenny, ale czasami szkoda mi czasu na zajęciach, aby go uskuteczniać.

Do nawet prostych tekstów podręcznikowych można wykorzystać pantomimę. Poza tym z doświadczenia wiem, że typowe pytania „co robiłeś w weekend?", „co robisz codziennie?" – studenci zbywają krótkimi odpowiedziami i właściwie okazuje się, że większość z nich śpi przez 2 dni, no może czasami robi zakupy. Wydaje im się, że jeśli nie robią czegoś „specjalnego", to nie jest to warte opowiadania. Wtedy właśnie często wykorzystuję pantomimę. Student pokazuje swój dzień/weekend, a partner (albo grupa) zapisuje przebieg akcji. Słowa, które trudno pokazać, a warto ich użyć, żeby stworzyć przyzwoite zdanie (potem, wtedy etc.) piszemy na tablicy lub umawiamy się na konkretne gesty, które je oznaczają. Okazuje się, że uczący się są dużo chętniejsi do pokazywania, a ich weekendy wcale nie są aż takie nudne. Zadanie dobrze sprawdza się też w pracy w parach. Inne typowe zadanie z teatru improwizacji – nadawanie sensu akcji wykonywanej przez partnera, stosuję, by powtórzyć słownictwo. Osoba A wykonuje dowolny, powtarzający się ruch, osoba B dołącza, naśladuje i w krótkim komentarzu nadaje sens aktywności. Następnie sama proponuje czynność, a kolejny student naśladuje i komentuje. Oczywiście wszystko poza strefą komfortu ławki. Studenci zazwyczaj świetnie się bawią i są kreatywni. W ten sposób często powtarzam czasowniki, przymiotniki i rzeczowniki – tu studenci muszą „ograć" akcją jakiś przedmiot (może być realny lub ze zdjęcia).

Już praktycznie od początku gadżetem, który mam na podorędziu jest butelka. Widok min moich studentów, kiedy mówię im, że będziemy grać w butelkę jest bezcenny. Kiedy jej używam? – w różnych sytuacjach, np. do zadawania nawet prostych pytań (zadajemy pytanie osobie, na którą wskaże butelka), do wielu ćwiczeń i gier z podręczników KPK i HURRA. Nabierają one zupełnie innego wymiaru.

Moim zadaniem i pierwszym obowiązkiem jako nauczyciela jest stworzenie takiego środowiska, w którym emocje są zaangażowane, a język używany w sposób, w jaki robimy to w naszym życiu. Aby to osiągnąć, używam też działań opartych na dramie, w tym aktywizujących dialogów, gier teatralnych jako metafory, pracy z obrazem i pracy z rolami. Jedną z moich ulubionych praktyk jest ćwiczenie, które uczy reżyserii, ale może być również wykorzystane do wzajemnego poznania się, nie wspominając o języku docelowym (formy przeszłe, słownictwo związane z rodziną, opowiadanie o wakacjach itp.). Ostatnio często zdarza się, że mam grupy 20-osobowe. Warto je wtedy podzielić na mniejsze. Jeden z członków grupy opowiada pozostałym np. prawdziwą przygodę ze swojego życia. „Reżyser" wybiera członków grupy do odegrania różnych postaci, w tym siebie. Gdy aktorzy są pewni historii, improwizują ją od początku do końca. Reżyser daje im notatki, a oni improwizują ponownie, starając się, aby było to jak najbardziej prawdziwe. Pozostali studenci mogą współpracować, komentować, zadawać dodatkowe pytania itp. Dla studenta bycie reżyserem to wspaniałe doświadczenie, ponieważ dokładnie wie, czego oczekuje od aktorów, a wyrażanie swoich potrzeb i ubieranie ich w słowa jest częścią naszej codziennej rutyny. Jest to również świetna zabawa dla aktorów, ponieważ czują się oni odpowiedzialni za właściwe przedstawienie historii i odnalezienie „wewnętrznej prawdy" postaci – zwłaszcza osoby, która wciela się w rolę głównego bohatera. Ćwiczenie to obejmuje również wiele umiejętności związanych z wyrażaniem siebie i wydawaniem instrukcji. Często włączam do tego zadania specyficzne frazy/zdania, które studenci muszą zawrzeć w swoich wypowiedziach, dzięki czemu ćwiczą je wielokrotnie.

Dzięki dramie edukacyjnej angażuję moich uczniów na poziomie ciała, umysłu i emocji. Sama nie potrafię usiedzieć podczas zajęć, więc dlaczego miałabym wymagać tego od uczących się? Nauka zazwyczaj odbywa się w połączeniu z ruchem, co sprawia, że uczniowie lepiej i na dłużej zapamiętują materiał. Aspekt fizyczny pomaga na wielu poziomach: na poziomie fonemów – gry wymowy i artykulacji mogą pomóc uczniom odkrywać dźwięki języka docelowego. Na poziomie słów/zwrotów – gesty towarzyszące słowom mogą sprawić, że będą one lepiej zapamiętywane i mogą pomóc studentom zinternalizować prawidłowy rytm i intonację. Integracja działań niewerbalnych podnosi poziom pewności siebie i motywacji. Może również zachęcić ich do mówienia więcej, ponieważ odkrywają, że mogą uzupełnić swoje umiejętności werbalne poprzez aspekty niewerbalne.

Nie zapominajmy, że język jest czymś więcej niż tylko środkiem komunikacji. Jest on również nieodłączną częścią kultury. Bardziej (fizycznie) aktywne uczenie się, m.in. – język ciała umieszcza słowa w kontekście. Praca w grupach jest kluczem do udanych zajęć i jest to coś, co bardzo cenię. Rozwiązywanie problemów, zadania fizyczne umieszczają naukę w kontekście i wymuszają współpracę. A to prowadzi do poprawy umiejętności miękkich będących atrybutami, których potrzebujemy, aby czuć się bardziej komfortowo w szybko zmieniającym się świecie. Mieści się w tym proste zadanie, które bardzo lubią moi studenci. Każdy opowiada jedną negatywną sytuację, która wydarzyła się w poprzednim tygodniu, a kolejna osoba, transformuje ją w sytuację pozytywną. Dzięki temu zadaniu trenujemy mówienie, ale również uwrażliwienie ich na fakt, że tę samą sytuację każdy z nas może widzieć zupełnie inaczej. W życiu również komentujemy zdarzenia z życia znajomych. Sytuacja naturalna, ma aspekt poznawczy, poza tym daje pozytywną informację zwrotną.

Kreatywność to kolejna rzecz, która jest nieodłączna w aktywnym nauczaniu z wykorzystaniem improwizacji lub dramy.

Zawsze staram się tworzyć lekcje wokół zainteresowań i pasji moich uczniów. I też kreuję – ciekawe podręcznikowe zadania ze zdjęciami osób starszych (do czasu przeszłego) czy młodych (do przyszłego) zastępuję ćwiczeniami ze zdjęciami moich studentów (czy z dzieciństwa, czy „postarzonymi" za pomocą SI). Oprócz ćwiczenia czasów, wzbogacam lekcję o lepsze poznanie się grupy i dobrą zabawę. Jeśli uczący mogą odnieść się do tematu, łatwo zapamiętują materiał. Od najniższych poziomów staram się też wykorzystywać poezję. Nie tylko po to by ją prezentować, ale również, by ją tworzyć. Wielkim zaskoczeniem było dla mnie jak wprawnie studenci potrafią stworzyć wiersz. Wykorzystuję utwory współczesnych poetów, ale też klasyków (moi studenci uwielbiają np. wiersz W. Szymborskiej „Możliwości"). Tworząc poezję, możemy bardzo skutecznie poćwiczyć język lub formę gramatyczną. Studenci poza tym są niezwykle dumni i czasami zaskoczeni swoimi umiejętnościami. Często nie tworzą nawet w swoich rodzimych językach.

Czy moja pierwsza grupa w Samarkandzie nauczyła się wiele na początku? Cóż, nie stawiałabym na to, ale był to dla mnie bardzo pouczający moment i wykorzystałam to. Kiedy myślę o tym doświadczeniu z perspektywy czasu, wyraźnie widzę różnicę między przeciętnymi a świetnymi nauczycielami. Nauczyciel to nie tylko dostawca wiedzy. XXI wiek oferuje ogromną liczbę sposobów jej zdobywania. Kursy z lektorem nie są jedyną opcją. Nauczanie to praca, to rzemiosło, to fakt, ale dla mnie jest w tym coś znacznie więcej. Dajemy to, co mamy, ale to, jak to dajemy, zależy od nas. Wiedza, którą dzielą się lektorzy, zawsze będzie kształtowana przez to, kim są, przez ich doświadczenie. Po wielu latach lektorzenia i pracy ze studentami wiem jedno – im bliższe doświadczeniu życiowemu będą nasze zajęcia, tym więcej skorzystają na nich nasi studenci.

Michał Basiak

UNIWERSYTET FEDERALNY STANU PARANA W KURYTYBIE, BRAZYLIA

Moje pierwsze kroki po drugiej stronie Atlantyku

Na samym początku warto powiedzieć, skąd ja się w tej Brazylii w ogóle wziąłem: kiedy to w lutym 2023 roku moje plany przeprowadzki do Berlina oficjalnie spełzły na niczym, szybko dotarło do mnie, że mentalnie jestem już na walizkach i że potrzebuję czegoś nowego; praktycznie już od podyplomówki w Polonicum miałem z tyłu głowy program Lektorzy NAWA. Na (nie-)szczęście odbębnienie corocznego przeziębienia (połączonego z zapaleniem absolutnie wszystkiego) zbiegło mi się w czasie z ostatnim tygodniem składania wniosków, więc miałem kiedy odpowiednio dopieścić swoje zgłoszenie. Jako że od piętnastego roku życia uczę się portugalskiego, pozostało praktycznie tylko jedno pytanie – czy jestem bardzo szalony i chcę przeprowadzić się do oddalonej o 11 tysięcy kilometrów od domu Kurytyby, czy też tylko trochę szalony, więc postawię na znaną i lubianą Lizbonę? Uznałem, że jak przygoda, to teraz, dlatego podobnie jak chyba każdy poprzedni nawowski lektor tutaj, swoją trzydziestkę spędzę na parańskiej ziemi.

Do Kurytyby, po jakichś trzydziestu sześciu godzinach podróży (i miłej kolacji ze starym znajomym z Lizbony), dotarłem dwudziestego lutego. Już tego dnia przeżyłem swój pierwszy wielki szok kulturowy: w szafce pod zlewem znalazłem – o zgrozo – nie śmietnik, a garnki i patelnie.

Ogród botaniczny w Kurytybie

Sam początek pobytu minął mi pod znakiem dosyć losowych doświadczeń: w pierwszych dwóch tygodniach zdołałem już wziąć udział w mszy progresywnego kościoła anglikańskiego, udzielić wywiadu dla miejscowej telewizji (motyw raczej klasyczny – *gringos* próbują lokalnych specjałów, w tym niezwykle niestety suchych polonijnych pierogów w gęstym, grzybowym sosie), dać się zaskoczyć wizytą Viniego, mojej pierwszej miłości prosto z Porto Alegre (dosyć dramatyczne zrewidowanie romantycznych

Kurytyba – Park Tanguá

wizji 20-letniego Michasia) czy wziąć udział w rowerowej masie krytycznej, nazywanej tu – *nomem omen* – *pedaladą*; a wszystko to zaprawiane papają, persymoną i *paçocą* (batonem ze zmielonych i ubitych orzeszków ziemnych), jakby nie było jeszcze wystarczająco polisensorycznie.

Do pionu sprowadzały mnie tylko zajęcia na Uniwersytecie Federalnym, bo dość szybko zdałem sobie sprawę, że moje sprawdzone nauczycielskie sposoby z Polski (powtórka 30 słówek na Quizlecie na każde zajęcia czy stosowanie praktycznie nieadaptowanych tekstów w dalszych semestrach nauki) średnio się tu sprawdzają; większość uczących się nie jest jeszcze odpowiednio osłuchana, czy wręcz „osadzona mentalnie" w jakże egzotycznym i odległym polskim. Zachwyciła mnie natomiast koncepcja *extensão*, według którego wszystkie wydziały państwowych uczelni – poza nauczaniem i badaniami – są zobowiązane prowadzić działalność dla osób spoza społeczności akademickiej. Wydział filologiczny organizuje na przykład zajęcia z języka portugalskiego dla osób uchodźczych, oferuje darmową pomoc w korekcie i tłumaczeniach tekstów naukowych na angielski czy też koordynuje zajęcia z polskiego z elementami kultury dla uczniów szkół podstawowych. Zgodnie z tą koncepcją, to studiujący powinni być głównymi motorami napędowymi takich działań, muszą oni zresztą w ten sposób wyrobić odpowiednią liczbę godzin.

Brazylia zaskakiwała mnie na każdym kroku, ale po takiej burzy hormonów dosyć szybko przyszedł zjazd psychiczny – chociaż od samego początku czułem się tu należycie ugoszczony przez kolegów z uczelni, studentów czy współlokatorów, brakowało mi rodziny i przyjaciół, ogólnie osób, które znają mnie od lat; poza tym miałem straszną ochotę zjechać rowerem Tamką, skoczyć na kolację do Bibendy, usiąść na schodkach nad Wisłą z Kormoranem 1/100 gorzka pomarańcza, czy wreszcie poczuć komfort wyrażania myśli w języku ojczystym.

Zacząłem wtedy też zauważać mankamenty tego kraju-raju. W Brazylii ceny są tylko nieznacznie niższe od tych polskich, a osoby zarabiające netto 3000 reali miesięcznie (niecałe 2500 zł) stanowią górne 10%, dlatego większość mieszkańców nie może sobie pozwolić na stabilność finansową (nie mówiąc już oczywiście o dalszych podróżach czy zajęciach dodatkowych), a z kolei kasta najbogatszych, na rooftopowych barach w tiszertach od Versace, sączy całymi dniami koktajl z dzikiego kapitalizmu i uzależniającego konsumpcjonizmu, przełamany mocną nutą skrywanego poczucia niższości. Jako środek transportu (nawet w centralnych dzielnicach) dominują samochody, a mój nawyk poruszania się pieszo albo rowerem uchodzi tu za kwintesencję europejskości. W sklepach szasta się na prawo i lewo (po dziś dzień darmowymi) plastikowymi reklamówkami, w restauracjach oferta dań wege i alkoholi 0% jest dosyć uboga (i aż mi trochę wstyd pisać o swoich problemach pierwszego świata). Lokalną architekturę akurat polubiłem, chociaż Kurytyba, mimo licznych terenów zielonych, nie jest jakaś zjawiskowa; doskonale oddaje ją komentarz mojej koleżanki na przesłane filmiki z mojego balkonu: trochę Dubaj, trochę Ząbki.

Chciałbym jednak zaznaczyć, że kryzys psychiczny na uchodźstwie, który opisałem wcześniej, jest zupełnie naturalny i – przede wszystkim – zwykle szybko mija. Moim zdaniem warto pobyć po prostu trochę z tymi odczuciami, a po jakimś czasie postawić sobie konkretny cel i go realizować; ja na przykład wróciłem na lekcje online z portugalskiego i zacząłem porządnie pracować nad swoim akcentem. Jak się szybko okazało, wystarczyło zacząć konsekwentnie stosować kadencję (okiełznanie intonacji wznoszącej to chyba zmora większości Słowian), by nie słyszeć już podczas każdej, nawet najmniejszej interakcji „skąd jesteś?" albo „o, dobrze mówisz po portugalsku" (w domyśle: taki *gringo*, a tak się ładnie nauczył). Dalsza motywacja do działania przyszła już sama.

Jestem tu dziesiąty tydzień i teraz czuję się świetnie. Przelatując przez ocean, miałem w planach liczne podróże i szybkie rozkręcenie konta o Brazylii i brazylijskości na Instagramie; chociaż w dalszym ciągu wierzę, że mi się to uda, zupełnie inaczej postrzegam swoje priorytety na najbliższe miesiące, bo po raz pierwszy od wybuchu wojny w Ukrainie i ogromnej fali imigracyjnej mam poczucie misji.

Odkąd wybuchła pandemia, nasza polonistyka (skądinąd jedyna w Ameryce Południowej) przeżywa kryzys, a w tym roku przyjęliśmy tylko czworo pierwszorocznych. Motywuje mnie to, żeby angażować się w organizację wydarzeń na UFPR-ze i w Domu Kultury Polska-Brazylia: w przyszłym tygodniu na przykład po raz pierwszy kurytybańczycy będą celebrować tydzień eurowizyjny, a na czerwiec zaplanowaliśmy już polski Dzień Dziecka i warsztaty z plecenia tradycyjnych wianków na pierwszy dzień lata. Mam nadzieję, że ta energia przyciągnie do nas więcej chętnych z przyszłych roczników.

Zacząłem się również zastanawiać, jak wprowadzić studentów w arkana naszej rodzimej mowy dużo bardziej bezstresowo i intuicyjnie, niż dotychczas, dlatego opracowuję teraz metodę oswajania się z językiem opartą na analizie tekstów odpowiednio dobranych piosenek, tak aby uczniowie po roku nauki z większością form gramatycznych i ogromnym zasobem słówek mieli już styczność, a jednocześnie poznali bogactwo naszego przemysłu fonograficznego, od Niemena czy Breakoutu po Rosalie i Kaśkę Sochacką.

Kurytyba – widok na Shopping Curitiba

Przyjechałem do Kurytyby z – jak określa to moja wydziałowa koleżanka z Warszawy – kraju wiecznego zap****olu i nagle mam dużo czasu dla siebie. Dzięki temu odkrywam w sobie na nowo ogromne pokłady kreatywności, znajduję przestrzeń na doskonalenie swojego portugalskiego i czytanie tekstów naukowych. Ten luz, w połączeniu z przyjaznym i wspierającym usposobieniem Brazylijczyków sprawił też, że dużo bardziej zaakceptowałem samego siebie i pozwoliłem sobie na funkcjonowanie w swoim rytmie.

Przed przyjazdem nastawiałem się na dwuletni pobyt po tej stronie oceanu, ale teraz coraz częściej myślę o dłuższym okresie. Lubię żartować, że nie wyjadę stąd, póki nie nauczę się obierać z gracją mango, a to zajmie mi pewnie dobrą dekadę.

ROBERT ROMANOWICZ

W roku 2024 przypada 90. rocznica urodzin wybitnej tłumaczki literatury polskiej na język chiński oraz chińskiej polonistki, Pani Profesor Yi Lijun. W wyrazie uznania jej ogromnego wkładu w propagowanie polskiej literatury i kultury pragniemy przypomnieć wywiad, jaki został z Nią przeprowadzony w 2019 roku. Niezwykłe losy Pani Profesor mogą stać się inspiracją nie tylko dla polskich lektorów, ale także zagranicznych polonistów, czego naszym Czytelnikom z całego serca życzymy.

- Redakcja

Zhao Weiting

PEKIŃSKI UNIWERSYTET JĘZYKÓW OBCYCH

WYWIAD Z PROFESOR YI LIJUN

Pierwodruk: *Chiny: utopie i dystopie*, pod red. Hanna Kupś i Maciej Szatkowski, „Litteraria Copernicana" Tom 38, Nr 2, Wydawnictwo Naukowe UAM, Toruń 2021.

Na zdjęciu prof. Yi Lijun czyta przekład chiński *Pana Tadeusza* w swoim domu w Pekinie

WPROWADZENIE

Yi Lijun, profesor w Katedrze Języka Polskiego na Pekińskim Uniwersytecie Języków Obcych. Urodziła się w mieście Huanggang w prowincji Hubei w 1934 roku. W 1954 roku rozpoczęła studia na Wydziale Sinologii Uniwersytetu Wuhańskiego, a następnie kontynuowała naukę na Uniwersytecie Warszawskim. Uzyskawszy stopień magistra w 1960, wróciła do Chin, by pracować w Chińskim Radiu Międzynarodowym jako dziennikarka. Od 1962 roku pracowała na Wydziale Języków Wschodnioeuropejskich (obecnie Wydział Języków i Kultur Europejskich) na Pekińskim Uniwersytecie Języków Obcych.

Profesor Yi Lijun od dawna zajmuje się nauczaniem języka polskiego, tłumaczeniem i badaniami literatury polskiej. Jest autorką antologii pt. *Literatura polska* i *Polska literatura powojenna*. Do jej dorobku translatorskiego zaliczyć można kilkadziesiąt pozycji, w tym *Dziady* i *Pana Tadeusza* (współtłumaczenie) Adama Mickiewicza, *Trylogię* Henryka Sienkiewicza, *Ferdydurke* Witolda Gombrowicza (współtłumaczenie), a także *Prawiek i inne czasy* oraz *Dom dzienny, dom nocny* Olgi Tokarczuk (współtłumaczenie)[1].

Otrzymała wiele wyróżnień, m.in. Transatlantyk w 2012 roku, najważniejszą nagrodę dla tłumaczy literatury polskiej. Za wybitną działalność na rzecz kultury polskiej została odznaczona w 2000 roku przez Prezydenta RP Krzyżem Kawalerskim Orderu Zasługi Rzeczypospolitej Polskiej. Wyróżniono ją także tytułem doktora honoris causa Uniwersytetu Gdańskiego.

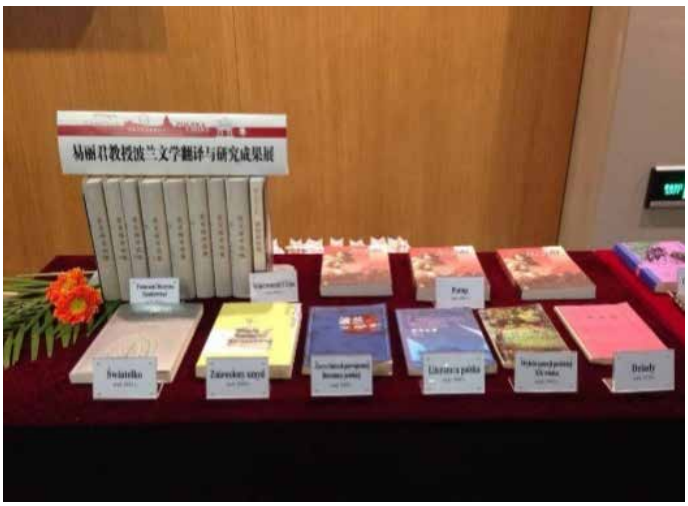

Wystawa dorobku translatorskiego prof. Yi Lijun z okazji 80. jubiliuszu

Z UNIWERSYTETU WUHAŃSKIEGO NA UNIWERSYTET WARSZAWSKI

Zhao Weiting: Jest Pani jednym z pierwszych studentów chińskich wysłanych przez rząd na studia do Polski po powstaniu nowych Chin. Od ponad 60 lat zajmuje się Pani tłumaczeniem i badaniami literatury polskiej. Przedstawiła Pani chińskim czytelnikom najważniejszych pisarzy i arcydzieła polskiej literatury klasycznej oraz współczesnej. Jaką przebyła Pani drogę zanim zaczęła tłumaczyć? Czy może Pani powiedzieć nam jak związała się Pani z Polską?

Yi Lijun: Ten temat należy zacząć wspominając moje dzieciństwo. Spędziłam je na wsi mieszkając tam do 10 roku życia. Moją rodzinę można uznać za mieszkających na wsi intelektualistów. Mój dziadek studiował w Japonii i zajmował się technologią, a mój ojciec był nauczycielem w szkole średniej. Dziadek bardzo mnie rozpieszczał. Opowiadał się za sposobem wychowania umożliwiającym dzieciom swobodny rozwój, gdzie rodzice nie powinni być zbytnio surowi. Dlatego atmosfera w mojej rodzinie była dość swobodna.

Na naukę do Wuhanu pojechałam po 10 roku życia. Zarówno moje gimnazjum, jak i uniwersytet, znajdowały się w tym mieście. Dla miejscowych uczniów Uniwersytet Wuhański był wprost idealny. Tam jest naprawdę pięknie: mamy jezioro i góry na kampusie, ze Wschodnim Jeziorem po jednej stronie, a Górą Luojia po drugiej. Jeszcze wspanialej jest tam, kiedy zakwitają wiśnie. Sinologia na Uniwersytecie Wuhańskim była moim pierwszym wyborem, który zaznaczyłam na

[1] Te książki Olgi Tokarczuk Yi Lijun przełożyła z mężem Yuan Hanrongiem.

Na zdjęciu studenci chińscy. Trzecia osoba z lewej strony: prof. Yuan Hanrong (mąż prof. Yi Lijun), piąta z lewej strony: prof. Yi Lijun. Gdynia, 1955 rok

maturze. Początkowo mój tata nie chciał, żebym studiowała literaturę. Uważał, że dziewczyny po takim kierunku nie będą mogły otrzymać samodzielnego stanowiska, a większość z nich skończy jako sekretarki. Twierdził, że bycie sekretarką to nie jest dobre wyjście. Ale na uniwersytet mnie przyjęto, więc nie mógł już protestować.

Po rocznych studiach na Uniwersytecie Wuhańskim, rząd wybrał spośród nas studentów, których w 1954 roku zamierzał wysłać do Związku Radzieckiego i Europy Wschodniej na studia. Lin Hongliang[2] i ja byliśmy kolegami z roku i pojechaliśmy razem na studia do Polski. Z naszego rocznika wybrano sześć osób, w tym mnie. Cała piątka była bardzo zadowolona, ale ja byłam wówczas jeszcze młoda, a ponadto moja mama nie chciała, żebym studiowała zbyt daleko od domu. Wahałam się, czy pojechać. Mój profesor powiedział, że studia za granicą to dobre doświadczenie i przypomniał, że wielu dałoby wszystko, żeby zamienić się ze mną miejscami. Dlatego też podjęłam decyzję o wyjeździe.

Zhao Weiting: Zanim pojechała Pani do Polski, czy wiedziała Pani, do jakiego kraju została Pani wysłana? Czy wiedziała Pani coś na temat Polski?

Yi Lijun: Wiedziałam. Wśród państw demokracji ludowej na pierwszym miejscu był Związek Radziecki, a na drugim już Polska. Poza tym „znałam" kilku sławnych Polaków, w tym Mickiewicza, Chopina i Kopernika, więc Polska nie była dla mnie zupełnie obca.

W sierpniu 1954 roku wyjechaliśmy do Polski. Jednak po zwiedzeniu kampusu Uniwersytetu Warszawskiego byłam trochę rozczarowana: był on znacznie mniejszy niż kampus Uniwersytetu Wuhańskiego. Potem dowiedziałam się, że tam, gdzie znajdowała się polonistyka, był tylko główny kampus. Na

[2] Tłumacz literatury polskiej i badacz w Instytucie Literatury Zagranicznej Chińskiej Akademii Nauk Społecznych.

Na zdjęciu prof. Yi Lijun, pod Warszawą, 1956 rok

Krakowskim Przedmieściu mieściło się niewiele kierunków, w tym m. in. wspomniana już polonistyka, historia, sinologia oraz budynki rektoratu. Inne wydziały znajdowały się w różnych częściach Warszawy. Na przykład mój mąż[3] studiował na Wydziale Fizyki, który znajdował się wówczas w Pałacu Kultury i Nauki. Ja, Ai Qing, Zhang Zhenhui[4], Lin Hongliang oraz Pei Yuanying[5] zostaliśmy studentami polonistyki na Uniwersytecie Warszawskim.

Zhao Weiting: Czy studia w Warszawie sprawiały Pani problemy?

Yi Lijun: Na początku nauce towarzyszył zapał. Przesiew na polonistyce był bardzo duży. Początkowo było nas 90 osób, a ostatecznie tylko kilkunaściorgu udało się ukończyć studia. Pierwszy rok studiów był dla mnie naprawdę trudny. Zmuszona byłam przeczytać wiele dzieł polskiej literatury. Wciąż pamiętam, jak całymi dniami, i często też nocami, czytałam *Trylogię*, zawierającą w sumie ponad 2,6 miliona słów, nie mając czasu na sen. Nauki było wtedy bardzo dużo. Pierwszego dnia na pierwszym roku wykładowca pokazał nam listę przeszło stu książek i powiedział, że to na nich opierać się będzie egzamin. Wszystkie z ponad stu z nich miały wchodzić w zakres egzaminu.

W ciągu pięciu lat studiów czuliśmy się jak w jaskini. Trzeba jednak powiedzieć, że było to także najszczęśliwsze pięć lat w moim życiu. Studia w tamtym czasie dobrze przygotowały mnie do pracy zawodowej, ponieważ nie tylko dużo czytałam po zajęciach, ale także mieliśmy dobrych wykładowców. Szczególnie świetnie nauczała wykładowczyni, która miała z nami zajęcia przez trzy lata. Nigdy nie miała ze sobą spisanego całego wykładu, w trakcie zajęć trzymała jedynie kilka małych karteczek, na których zapisany był konspekt. Gdy przyszedł czas na pisanie pracy dyplomowej, pojawiły się małe grupy seminaryjne. W jednej grupie było tylko ośmioro studentów, wśród których siedmiu było Polakami i tylko ja jedna byłam Chinką.

Zhao Weiting: Czy polscy koledzy troszczyli się o Panią?

Yi Lijun: Uważałam, że wszyscy byliśmy równi, nie było mowy o żadnej specjalnej trosce. Przed egzaminem koledzy kopiowali nawet moje notatki, ponieważ były bardziej szczegółowe. Wykłady opierały się głównie na wystąpieniach nauczycieli, w trakcie seminariów panowała natomiast swobodna wymiana zdań. Pamiętam, jak kiedyś rozmawiałam o bohaterze *Lalki* Bolesława Prusa. Powiedziałam, że dla nas Chińczyków jest on postacją negatywną, może być uznany za bohatera „nowobogackiego", Polacy sądzili natomiast, że jest to postać pozytywna, ponieważ uzyskała wszystko dzięki swojej ciężkiej pracy.

Zhao Weiting: Nauka w Polsce była zatem trudna, a jak wyglądały warunki życiowe?

Yi Lijun: Nasz akademik znajdował się na Osiedlu Przyjaźni pod Warszawą. Były to domy zbudowane dla siebie przez obywateli Związku Radzieckiego, którzy przybyli bu-

[3] Yuan Hanrong (1933-2020), mąż prof. Yi Lijun, fizyk, tłumacz literatury polskiej, absolwent Uniwersytetu Warszawskiego.
[4] Tłumacz literatury polskiej i badacz z Instytutu Literatury Zagranicznej Chińskiej Akademii Nauk Społecznych.
[5] Były ambasador Chińskiej Republiki Ludowej w Polsce.

dować Pałac Kultury i Nauki. Po ich wyjeździe, domy te przeznaczono na akademiki. Były bardzo piękne, jak kolorowe drewniane budynki z bajek. Warunki w akademiku też były dobre. W jednym pokoju mieszkały trzy osoby. Pamiętam, że podłoga w pokoju polakierowana była na czerwono. Z akademika do szkoły codziennie jeździło się autobusem godzinę. Ze względu na duże obciążenie nauką, zazwyczaj nie mieliśmy zbyt wielu okazji, by się zrelaksować. Czas spędzaliśmy ucząc się. Czasem wychodziliśmy posłuchać opery, czy do teatru. Na przykład poszliśmy zobaczyć *Dziady* Adama Mickiewicza.

W tamtym okresie często odwiedzali nas chińscy przywódcy, w tym Zhou Enlai, Zhu De, Peng Dehuai, Chen Yi. Podczas oficjalnych wizyt w Polsce spotykali się ze studentami chińskimi. Pamiętam, że marszałek Zhu De był wówczas już starszym panem. Przekazywał nam słowa wsparcia. Premier Zhou Enlai mówił natomiast o tym, że państwo zdecydowało się nas wysłać zagranicę, ponieważ ma wobec nas swoje zamiary. Każdemu z nas została powierzona misja i powinniśmy mieć świadomość wziętego na własne barki zadania. Słowa premiera Zhou sprawiły, że poczuliśmy, jak wielki jest ciężar spoczywający na naszych ramionach.

Zhao Weiting: Państwo miało wobec was wysokie oczekiwania.

Yi Lijun: Dobrze to ujęłaś. Premier powiedział, że koszt studiów jednego studenta za granicą odpowiada rocznemu produktowi pracy 300 rolników. Mówił, że państwo oczekuje od nas, że po powrocie do kraju zajmiemy się dyplomacją lub wykorzystamy zaawansowaną wiedzę zdobytą za granicą do służby ojczyźnie. Dobrym przykładem był mój mąż, który studiował fizykę atomową w Polsce, a po powrocie do Chin podjął pracę związaną z fizyką jądrową.

Zhao Weiting: Jaka była Pani pierwsza praca po ukończeniu studiów na Uniwersytecie Warszawskim i powrocie do Chin?

Yi Lijun: Pracowałam jako dziennikarka w Chińskim Radiu Międzynarodowym. Codziennie musiałam nosić ciężki, ważący przeszło 10 kilogramów, sprzęt do nagrań i zabierać go na wywiady. Przeprowadzałam wywiady z wieloma znanymi Chińczykami, w tym artystami i naukowcami, ale teraz już nie pamiętam, kim oni byli.

Zhao Weiting: Czy były tam programy dla Polaków?

Yi Lijun: Nie było audycji po polsku, wszystkie programy emitowane były w języku rosyjskim. Pracowałam jako dziennikarka przez dwa lata, od 1960 do 1962 roku. Władze doszły do wniosku, że wielu studentów, którzy odbywali naukę za granicą „nie zajmuje się tym, czego uczono ich na studiach" i zaproponowały politykę mającą na celu zmianę przydziału do pracy. Ta polityka dotyczyła także mnie. Zapytano mnie, gdzie chciałabym pracować. Wiedziałam, że Lin Hongliang i Zhang Zhenhui pracowali wtedy w Akademii Nauk Społecznych, więc nie byłabym tam potrzebna. Gdzie jeszcze mogłabym pójść? Na Uniwersytecie Języków Obcych w Pekinie działała wtedy polonistyka, więc zdecydowałam się tam udać. To właśnie jest mój obecny gabinet, nigdy się stąd już nie ruszyłam.

DZIADY: JASKÓŁKA ZWIASTUJĄCA WIOSNĘ

Zhao Weiting: Kiedy zaczęła Pani tłumaczyć dzieła literatury polskiej?

Yi Lijun: Kiedy studiowaliśmy w Polsce, ja i pięciu moich chińskich kolegów: Pei Yuanying, Lin Hongliang, Zhang Zhenhui, Ai Qing i ja, założyliśmy na Uniwersytecie Warszawskim czasopismo, w którym pisaliśmy i tłumaczyliśmy wiersze oraz przekładaliśmy na język polski inne dzieła literatury. Czasopismo to nazywało się „Iskra". Publikowano w nim wiersze oraz przekłady wierszy i innych utworów literackich. To właśnie były

moje pierwsze próby tłumaczenia. Byliśmy prawdziwymi młodymi literatami, wszyscy kochaliśmy literaturę i wkładaliśmy dużo wysiłku w naukę. Każdy z nas chciał wyrobić sobie nazwisko.

Ale moje prawdziwe tłumaczenie literackie zaczęło się w szczególnym okresie. Działo się to w czasach tzw. Szkół Kadr 7 Maja (łączące pracę fizyczną ze studiowaniem myśli Mao, działały w okresie rewolucji kulturalnej), kiedy działalność uczelni została w Chinach zawieszona, a wszyscy zostali zmuszeni do pracy fizycznej. Pojechaliśmy do Shayangu w prowincji Hubei. Codziennie musieliśmy pracować na roli czy nosić cegły. Warunki życia na wsi były wyjątkowo trudne, a wieczorem zajmowałam się jeszcze tłumaczeniami. Zadanie to powierzył mi Uniwersytet, ale i ono zaliczało się do działalności prywatnej, więc musiałam wykonywać je w tajemnicy. Znalazłam małę chatkę, która często była pusta i ukrywając się tam po kryjomu pracowałam. Właśnie w tej zniszczonej chatynce, przy zapalonej lampie naftowej przetłumaczone zostały *Dziady*. Było to moje pierwsze tłumaczenie polskiej literatury.

Zhao Weiting: Dlaczego właśnie *Dziady*?

Yi Lijun: W styczniu 1968 roku w Teatrze Narodowym w Warszawie ponownie wystawiono *Dziady*, co wstrząsnęło całą stolicą. W trakcie spektaklu widzowie recytowali fragmenty dramatu wraz z aktorami. Scena i widownia wzajemnie sobie odpowiadały. Panowała bojowa atmosfera, nastroje antyradzieckie były bardzo silne. Podczas spektaklu radziecki ambasador bardzo się zezłościł i wyszedł z teatru. Niedługo potem *Dziady* zostały zdjęte z afisza, wskutek czego studenci Uniwersytetu Warszawskiego rozpoczęli demonstracje. Przedstawienie teatralne okazało się niespodziewanie mieć tak wielką siłę, mogło poruszyć całe polskie społeczeństwo. Na spotkaniu z chińskimi dyplomatami premier Zhou zapytał, kto czytał tę książkę, ale nikt nie odpowiedział. Premier powiedział, że tak istotny utwór powinien zostać przetłumaczony na język chiński.

Pracująca wtedy w Wydawnictwie Literatury Ludowej Ye Mingzhen była moją sąsiadką. Zapytała mnie, czy mogłabym przetłumaczyć *Dziady*. Bardzo mnie to ucieszyło, ale jednocześnie zmartwiłam się. Przetłumaczenie *Dziadów* na język chiński, a do tego na prośbę premiera Zhou, stanowiłoby dowód, że nauka w Polsce nie poszła na marne. Z drugiej jednak strony bałam się, że moje zdolności są ograniczone i nie przetłumaczę tego dobrze. Ostatecznie przyjęłam to zadanie. W Shayangu skończyłam szkic, a po powrocie do Pekinu, korzystając z chwili przerwy, udoskonaliłam go. Nie udało mi się jednak rozwiązać pewnych problemów. W 1973 roku chińska delegacja handlowa przyjechała do Poznania na targi. Udałam się z delegacją jako tłumaczka. Po zakończeniu targów, zostałam w Warszawie jeszcze kilka dni i korzystając z okazji spotkałam się z moją byłą promotorką, żeby skonsultować z nią moje wątpliwości. Uzyskałam od niej bardzo duże wsparcie. Po powrocie do Pekinu dokonałam korekty, a później poprosiłam mojego męża o ponowne sprawdzenie. W końcu to on przepisał rękopis na nowo, ponieważ jego pismo było ładniejsze od mojego. Było to pierwsze zagraniczne dzieło literackie, które ukazało się w Chinach po rewolucji kulturalnej.

TRANSATLANTYK: ZMNIEJSZANIE DYSTANSU POMIĘDZY DWOMA KRAJAMI DZIĘKI LITERATURZE

Zhao Weiting: Polska przyznała Pani wiele nagród i orderów. Który z nich jest dla Pani najważniejszy?

Yi Lijun: Dla mnie najważniejsza jest nagroda translatorska Transatlantyk, przyznana przez Instytut Książki w 2012 roku. Jest to najwyższe polskie wyróżnienie w dziedzinie tłumaczeń literackich, które ma na celu uhonorowanie osób, które wniosły wybitny wkład w promocję polskiej literatury na świecie.

Zhao Weiting: Przetłumaczyła Pani dzieła wielu pisarzy polskich. Czy miała Pani okazje się z nimi spotkać?

Yi Lijun: Tak, poznałam wielu. W XXI wieku wymiana kulturalna pomiędzy Polską a Chinami rozwija się bardzo intensywnie. Wielokrotnie jeździliśmy tam, a i oni często przyjeżdżali. Dlatego też mam częsty kontakt z polskimi pisarzami. W 2005 roku pojechałam do Krakowa na pierwszy Światowy Kongres Tłumaczy Literatury Polskiej, gdzie spotkałam się z Tadeuszem Różewiczem, Wisławą Szymborską oraz Olgą Tokarczuk. Rozmawiałam z nimi i wszyscy troje, wiedząc jak spora jest grupa chińskich czytelników, mieli świadomość, że dzięki mojej pracy stali się sławni w Chinach. Wysoka ocena wielu dzieł literackich za granicą ma ogromny związek z tłumaczem, dlatego cieszyli się, że znaleźli we mnie odpowiednią osobę do tego zadania.

Przy tamtej okazji poznałam też prof. Romualda Cudaka i jego małżonkę prof. Jolantę Tambor z Uniwersytetu Śląskiego. Oprowadzili nas po Śląsku. Zwiedziliśmy też Cieszyn, małe przygraniczne miasteczko w Polsce. Pamiętam, że zwiedziliśmy zamek, a było w nim muzeum, gdzie wystawiało komplet broni i zbroi krzyżaków. Wiedzieli, że przetłumaczyłam *Krzyżaków* Sienkiewicza, więc opowiedzieli mi, że była to broń z powieści. Ta wyjątkowa wycieczka pozwoliła mi zobaczyć na własne oczy to, co przetłumaczyłam w książce.

Zhao Weiting: Czy spotkała się Pani z Olgą Tokarczuk, laureatką nagrody Nobla w dziedzinie literatury za 2018 rok?

Yi Lijun: Tak. Pewnego roku Chińskie Stowarzyszenie Pisarzy zaprosiło ją do Chin. Kiedy przyszła do mnie w odwiedziny odkryłyśmy w trakcie rozmowy, że urodziła się w 1962 roku, i jest rówieśniczką mojej córki. Mogłaby być moim dzieckiem, stwierdziłyśmy żartując. Olga Tokarczuk nie lubi kontaktów z innymi ludźmi tak, jakby to się mogło z pozoru wydawać. Powiedziała mi, że nie przepada za dużymi miastami, dlatego sporą część roku spędza na wsi. Jest osobą bardzo prostolinijną i woli kontakty z naturą. Po rozmowie zdałam sobie sprawę, że jej literaturę można określić jako „literaturę poszukiwania korzeni", w której stara się odnaleźć korzenie narodu polskiego. W 2003 roku na targach książki we Frankfurcie wydawnictwo Dakuai Wenhua kupiło prawa autorskie do wydania chińskiego tłumaczenia *Prawieku i innych czasów*. Zaproponowano mi, abym ją przetłumaczyła.

Instytut Książki przyznał prof. Yi Lijun nagrodę Transatlantyk, Kraków 2012 rok

DUCH PRZEKŁADU: WIERNOŚĆ I PIĘKNO PRZEKŁADU

Zhao Weiting: Przełożyła Pani tyle arcydzieł literatury polskiej. Z którego z nich jest Pani najbardziej dumna?

Yi Lijun: Najlepiej tłumaczyło mi się *Sławę i chwałę* Iwaszkiewicza. Mam zbliżony styl do autora, dlatego doskonale go rozumiałam. Współpraca z moim kolegą Pei Yuanyingiem układała się bardzo dobrze. Tłumaczyłam także z polską studentką *Poziomkę* Iwaszkiewicza, która cieszyła się później dużą popularnością w Chinach, a nawet została włączona do podręczników dla szkół podstawowych i średnich, budząc wśród wielu uczniów zainteresowanie językiem polskim.

Prof. Yi Lijun i Olga Tokarczuk w Katedrze Języka Polskiego w Pekińskim Uniwersytecie Języków Obcych

Zhao Weiting: Jest takie powiedzenie, że tłumaczenie literackie to „taniec w kajdanach". Czy Pani się z nim zgadza?

Yi Lijun: Tworzenie literatury różni się tym od przekładu literackiego Jedno jest swobodne, a drugie nie. Czasami tłumacze podlegają różnym ograniczeniom, takim jak ograniczenia językowe, kulturowe i historyczne. Ale nie mogą zdradzać oryginału. Dlatego opowiadam się za bezpośrednim tłumaczeniem z języka polskiego, ponieważ przekład z innych języków sprawia, że tekst traci na uroku, a nawet mogą się pojawić błędy interpretacyjne. W rzeczywistości wierność oryginałowi i piękno przekładu wcale nie muszą się wykluczać. Jeśli naprawdę jesteś wierny tekstowi wyjściowemu i rozumiesz autora, to z pewnością jesteś w stanie wyrazić jego słowa w języku chińskim. A jeśli tak nie jest, to wynika to z niewystarczająco wysokiego poziomu języka ojczystego czy kompetencji kulturowych samego tłumacza. Tłumaczenie to nie jest zwykła zamiana słów, kryje się za nim głęboki kontekst. Tak zwana wierność przekładu nie odnosi się do konkretnych słów, ale do właściwego zrozumienia ducha utworu, wejścia w duchowy świat jego bohaterów.

Prof. Yi Lijun i Tadeusz Różewicz

Zhao Weiting: Jak Pani uważa, dlaczego polska literatura robi tak duże wrażenie na chińskich czytelnikach?

Yi Lijun: Podobieństwo literatury polskiej i chińskiej polega na tym, że obie są „literaturami urazy". Polacy, tak jak i my, mają głęboko zakorzeniony patriotyzm i szacunek do narodu.

Niektórzy mówią, że tłumaczenie literatury pisanej w rzadko używanych językach jest niczym „jedzenie taniego makaronu w luksusowej restauracji". Nie zgadzam się z tym. Literatura polska to nie tani makaron, ale prawdziwy przysmak. W trakcie uczty można się nią delektować jak każdą inną literaturą.

Zhao Weiting: Czy często wspomina Pani czasy studenckie w Polsce?

Yi Lijun: Często mówimy, że w przyszłości, jeśli będziemy mieli okazję, to wrócimy zobaczyć miejsca, w których niegdyś często bywaliśmy. Największe wrażenie zrobił na mnie pobyt w Gdańsku podczas letnich wakacji. W Parku Oliwskimi jest wysadzana drzewami alejka zwana „drogą zakochanych". Przeszliśmy nią z mężem ramię w ramię. Piękny i beztroski czas.

Zhao Weiting: Dziękuję Pani serdecznie za wspaniały wywiad!

Wywiad przeprowadzono 16 kwietnia 2019 r.
(Pani Profesor Yi Lijun odeszła
7 kutego 2022 roku w Pekinie)

Kinga Piątkowska

PAŃSTWOWY UNIWERSYTET IM. ALECU RUSSO W BIELCACH, MOŁDAWIA

LEKTORKA - KOCZOWNICA - JUSTI GUZIAK

PREZENTACJA KSIĄŻKI

Każdy z nas lektorów i lektorek pamięta zapewne ten moment pierwszego wyjazdu do ośrodka skierowania. Dla większości z nas było to nowe miejsce, nowy kraj, nierzadko mało znany. Pierwsze zaskoczenia, szok kulturowy, pierwsze zachwyty, ale i rozczarowania. Jest to wpisane w naszą lektorską drogę. Dla Justi (Justyny Guziak) ta droga, na której zatrzymywała się w niezbyt oczywistych i wyjątkowych miejscach, stała się podwaliną do napisania książki, którą obdarzyła intrygującym i dającym do myślenia tytułem „Koczownica – prawdziwe historie pokazujące, że jesteś tym, na co się odważysz".

Jest to bez wątpienia jedna z najbardziej wyjątkowych książek, jakie dotychczas przeczytałam. Nie tylko ze względu na jej tematykę, bo przecież sama mieszkam za granicą, ale także na lekki i wciągający język, strukturę opowieści i jej ogólne przesłanie. „Koczownica" to piękna, fascynująca i szczera podróż, jaką odbywamy razem z Autorką. Indie, Uzbekistan, Mongolia i Gruzja, Tajlandia, Indonezja... to tylko niektóre z miejsc, do których zabiera nas Koczownica. Autorka jest szczera w swoich obserwacjach, nie ma tu Gruzji jako kraju, który każdego Polaka w imię przyjaźni polsko-gruzińskiej wita czerwonym dywanem ani Indii wabiących swą egzotyczno-kolorową odmiennością od Europy, aszramami i opowieściami o osiągnięciu nirwany. Relacja jest rzetelna, poparta faktami, a spostrzeżenia i wnioski są celne i ostre jak żyleta. Nie znaczy to, że Autorka buduje swoją opowieść na krytyce, to raczej realizm, dostrzegający zarówno pozytywy, jak i nieprzechodzący obojętnie obok tych ciemniejszych stron życia. W opowieściach jest równowaga, bo Azja to nie tylko nierówności społeczne, odmienność, ale też zachwyt nad ludźmi, ich serdecznością, walecznością, bogatą historią czy zwyczajami, które budują daną społeczność.

Justi Guziak pokazuje, że świat nie jest czarno-biały. Z książki można się wiele nauczyć, bo wiedza jej Autorki jest imponująca. Te historie są też pełne przyjaznego ironicznego humoru, przez który Czytelnikom przekazuje się niesłabnące pragnienie życia, przygody, pragnienie wewnętrznej równowagi, wolności i harmonii ze Wszechświatem. Dodatkowo, Justi wplata w opowieści wątki autobiograficzne, ocieplając opowiadania swoimi przygodami, jest autentyczna w swoich emocjach, dzięki czemu daje nam siłę i udowadnia, że te nawet najtrudniejsze doświadczenia mają sens i że można wyjść zwycięsko z każdej sytuacji.

Książka ta czasem bawi, czasami wzrusza, ale przede wszystkim inspiruje do poznawania świata, miłości do ludzi i podążania za własnym wewnętrznym głosem. Do zagłębienia się w życie ludzi, których spotykamy, ale i w siebie, do konfrontacji ze swoimi przekonaniami i wartościami. Jak pisze Autorka: „Od Ciebie zależy czy weźmiesz los w swoje ręce, czy będziesz biernie płynąć z nurtem czasu. Pamiętaj, że jesteś tym, na co się odważysz". „Koczownica" daje nam odwagę, by wybierać te mniej zdeptane drogi, a w ostatniej opowieści zatytułowanej „Być Polką..." – odnajdzie się wielu z nas.

Miłosz Waligórski

UNIWERSYTET W NOWYM SADZIE, SERBIA

WIERSZE

sosna na zakręcie

Nie bądź szosą, co skręca, gdzie chce
i kiedy chce, nawet na prostej, kostki
i kiszki rozwłóczone, a potem długo,
długo nic sobie nie robi, to znaczy
biegnie dalej, leci jak osa na złamanie
talii, as na czołówkę z tramwajem…

i odwraca się karta. O, sen

i śmierć na gapę właśnie wypadły na zakręcie,
tylko ty tam nie wsiadaj, siostro, proszę,
pozwól się jej, szosie, rozwijać i zdarzać
wszystkie miejsca naraz. Jesteś mocna, sosno,
inna, bez zwłoki. Możesz się zatrzymać,
nigdy nie zostaniesz w tyle.

_ _ _

oka leczenie

Stali bezradni wobec ogromu. Piana była
jedynym śladem po tych, którzy wyjechali,

po Medei, Małej Syrenie, emigrantach…
Na usta cisnęło się drewno dryftowe,

z akacji rosnącej pośrodku Bałtyku.
Przerażenie jest lewą stroną zachwytu.

Pod wiatr ktoś rzucił: „Chodźmy już do Lidla,
czego to tam nie ma, wszystko

za ćwierć ceny". Odetchnęli z ulgą, plecami
odwrócili się do morza, zeszli z plaży.

Wtedy grom krótki gruchnął a nieskończony
jak woda i dziurawe reklamówki.

– – –
córka z ojcem

mniejsza z nim

– – –
barbie
(interpretacja)

Lalka, która wisi pomiędzy światami,
zmartwiała i żywa, ale nie do końca,
chciałaby już umrzeć raz na zawsze, z nami,
szczelnie domknąć wieko – żadnych pszczół czy
słońca,
żaden śnięty spokój, święty zresztą też nie,
koniec bez odwrotu, pustka pustkę sieje.
Półśrodki nasenne to oddechów chmura,
Bezżycia dokona czarny barbieturan.

TOMIKI POEZJI AUTORA

36 sposobów na pustkę
Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 2012

32 ślady ku
FORMA, Szczecin 2015

Długopis
FORMA, Szczecin 2017

Sztuka przekładu
FORMA, Szczecin 2018

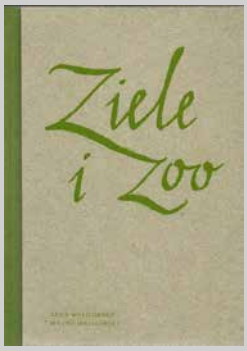

Ziele i zoo
ASP, Gdańsk 2018,
razem z Anną Waligórską

Wiele mieszkań
Convivo, Warszawa 2021

Renata Siegień

KANTOŃSKI UNIWERSYTET SPRAW MIĘDZYNARODOWYCH, CHINY

O CHINACH PO POLSKU I INNE KANTOŃSKIE PROJEKTY

WYDANIE PODRĘCZNIKA-PRZEWODNIKA „ODKRYJ CHINY!" ORAZ NAJNOWSZE PROJEKTY W INSTYTUCIE POLONISTYKI KANTOŃSKIEGO UNIWERSYTETU SPRAW MIĘDZYNARODOWYCH PO 2020 ROKU

W Kantonie uczę od 2018 roku. Pierwsze dwa lata mojej pracy w Instytucie Polonistyki były bardzo intensywne. Adaptacja, związana z inną strefą czasową, klimatem, językiem, zwyczajami, o różnicach kulturowych nie wspomnę, zajęła sporo czasu, ale pamiętam, że jakby z marszu musiałam „na już": zacząć, poznać szybko relacje, sposób pracy i nauczyć się żyć w kraju odległym geograficznie, językowo, kulturowo. I chyba się udało, bo wciąż tu jestem...

W 2020, kiedy rozpoczęła się pandemia – wszystko na jakiś czas zwolniło. Uważam jednak, że ten dziwny czas był dla mnie na swój sposób owocny i rozwojowy: ucząc zdalnie z Polski, nauczyłam się wielu metod pracy, a moje narzędzia dydaktyczne bardzo się wtedy „rozrosły". I dużo podróżowałam po Polsce (przecież mając ze sobą komputer i połączenie z siecią, możemy uczyć z każdego miejsca na ziemi – takie oczywiste odkrycie). Te moje podróże po Polsce dały mi satysfakcję i pocieszenie, że nie mogę wrócić do swojego „miejsca skierowania", a wiedzę i umiejętności podczas nich nabyte mogłam z powodzeniem wykorzystać podczas lekcji z tematami geograficznymi i turystycznymi. Również w moim Instytucie Polonistyki właśnie wtedy powstało kilka ciekawych pomysłów, dziś już ukończonych lub będących w trakcie realizacji.

WYDAWNICZO

Jednym z rozpoczętych w czasie pandemii projektów były prace nad redakcją podręcznika-przewodnika „Odkryj Chiny!", wydanego 1 sierpnia 2023 roku. Miałam wielki zaszczyt i przyjemność uczestniczyć w jego tworzeniu. To podręcznik, ale także, w mojej subiektywnej opinii, zupełnie niezły przewodnik po Państwie Środka. Są w nim trzy rozdziały: pierwszy jest typowo turystyczny, z ofertami wycieczek i praktycznymi pora-

dami dotyczącymi przygotowań do chińskiej podróży. Drugi zawiera kilka wybranych elementów kultury chińskiej, m.in. kulinaria, herbatę, jedwab, malarstwo. W trzecim znajdują się opisy najpopularniejszych miast Chin i ich atrakcje turystyczne. Do każdego tekstu w książce (bo tekst jest tu najważniejszy) dodane są ćwiczenia typu prawda-fałsz, a także zadania otwarte, opatrzone poleceniami: powiedz, porównaj, znajdź, napisz. Jest oczywiście polsko-chiński słowniczek do każdej lekcji. Dodatkowym atutem podręcznika-przewodnika są zdjęcia.

„Odkryj Chiny!" przeznaczyliśmy dla poziomu B2 i wyżej, ale myślę, że może on stanowić źródło ćwiczeń również dla niższych poziomów. Praca nad książką była bardzo przyjemna, twórcza i... jestem dumna z efektu.

Od września 2023 roku rozpoczęliśmy też prace nad podręcznikiem do historii literatury polskiej, w którym znajdą się informacje o epokach literackich, biogramy polskich twórców, teksty oraz ćwiczenia. W naszym Instytucie powstaje też podręcznik do nauki języka polskiego dla początkujących. Obie publikacje mają być pomocą dydaktyczną do nauki języka polskiego dla chińskich studentów.

TELEWIZYJNIE

Od ubiegłego roku zaczęliśmy „pokazywać się w telewizjach". Na razie w chińskiej i polskiej, ale kto wie, co będzie dalej? W kwietniu 2023 roku odwiedziła nas Chińska Grupa Mediów, która nagrała cykl filmów na corocznym Festiwalu Kultur Europejskich. Już od rana kamery rejestrowały zakupy ze studentami, w moim kantońskim mieszkaniu – przygotowanie polskich dań (żurku, sałatki, szarlotki), a potem ich promocję i sprzedaż na specjalnie przygotowanym polskim stoisku.

Dwa razy występowaliśmy też w polskiej telewizji, w „Słowniku polsko-polskim" u profesora Jana Miodka, promując naszą polonistykę i ćwicząc ze studentami wystąpienia. Studenci polubili takie doświadczenia, bo stają się dzięki nim bardziej śmiali i przełamują bariery w mówieniu.

PROJEKTOWO

Mamy bardzo dobrego polskiego partnera – Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu i razem realizujemy projekty, finansowane przez NAWA. Pierwsze dwa, ADAM.PL i „Studiuj w Poznaniu" już się zakończyły. W tym roku rozpoczęliśmy kolejny, trzeci już projekt z UAM, „Bądź na B1".

Celem projektu jest promocja języka i kultury polskiej za granicą oraz certyfikacji jako narzędzia zwiększającego szanse edukacyjne i zawodowe. W trakcie realizacji powstanie kurs przygotowawczy do egzaminu państwowego z języka polskiego jako obcego na poziomie B1, a studenci z Ukrainy i Chin, biorący udział w projekcie, będą uczestniczyć w zajęciach online.

KULTURALNIE

Cóż, staramy się jakoś zapełnić ponad dwuletnią pustkę kulturalną i znowu organizujemy: Konkurs Krasomówczy, Narodowe Czytanie, Andrzejki. Znowu odwiedzają nas goście z polskich uniwersytetów, prezentując ciekawe wykłady. Znowu odwiedzamy zaprzyjaźniony Konsulat Generalny w Kantonie: wpadamy na polski film lub na spotkanie z pracownikami konsulatu, którzy organizują konkursy, częstują polskimi smakołykami i nie zostawiają nikogo bez prezentu. Polska kojarzy się już studentom z gościnnością, dobrym jedzeniem i przyjaznymi relacjami.

Odkryj Chiny! Podręcznik do nauki języka polskiego jako obcego dla poziomu B2-C1.
Przewodnik turystyczno-kulturowy. The Commercial Press, 2023

ZESPÓŁ REDAKCYJNY:
prof. Mao Yinhui (Zofia), Xin Lin (Leszek), Wojciech Hofmański, Renata Siegień

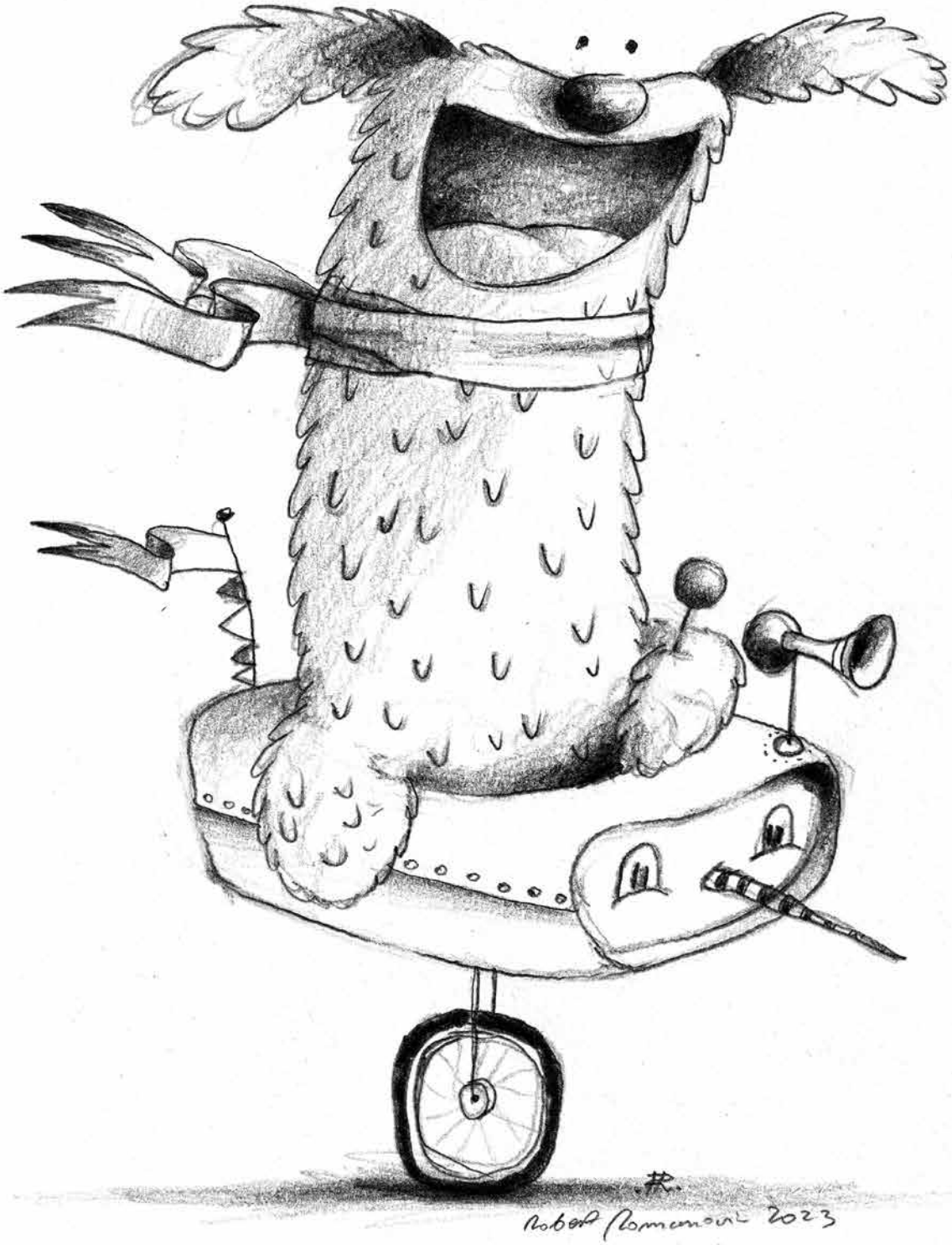

ROBERT ROMANOWICZ

Justyna Szczepaniak

UNIWERSYTET W BUKARESZCIE, RUMUNIA

Bukareszt okiem lektorki. Trzęsienie ziemi, sarmale i „Znachor"

Bukareszt jest skomplikowany, różnorodny, paradoksalny. To ogromne miasto, łączące w sobie szlachetną, klasyczną francuską sztukę, bałkańskie wpływy, podniosłość prawosławia, rumuńską żywiołowość, ponure komunistyczne dziedzictwo i tajemnicę Orientu. W Bukareszcie, niczym w lustrze, odbija się cała Rumunia – z jej bolesnym pięknem, wielkimi marzeniami i wielobarwną tradycją. Dla mnie osobiście, jako lektorki jpjo Bukareszt to mój drugi dom i miejsce, gdzie znajdują się bliscy dla mnie ludzie – wspaniałe osoby wielu kultur, regionów, narodowości. Nie jestem rumunistką i patrzę na to wyjątkowe miejsce w sposób bardzo osobisty i kameralny, ale mam nadzieję, że dla kogoś będzie interesująca moja prywatna relacja z tym pięknym krajem.

To miejsce, gdzie możliwe jest absolutnie wszystko – przechodząc ulicą, mijamy wielkie nazwiska literatury, kultury i sztuki przetłumaczone na rumuński i czekające na swoich czytelników w lokalnych kawiarniach i antykwariatach, na festiwalu CinePolska organizowanym przez Instytut Polski w Bukareszcie możemy obejrzeć polskie filmy, w restauracjach zjemy *sarmale* przypominające nasze gołąbki (o wiele jednak mniejsze – o czym warto pamiętać!). Do dziś pamiętam skonsternowaną minę kelnera, gdy moja rumuńska studentka, która zapomniała o tej różnicy, zamówiła w Krakowie 8 gołąbków). Pamiętam też swoją radość, gdy pierwszy raz jechałam metrem i, słysząc rumuński wokół pomyślałam, że to taki piękny, zaskakująco słowiański włoski. Przesympatyczny pan będący administratorem w bloku, w którym mieszkam opowiada mi zawsze, że jeden z jego ulubionych filmów to „Znachor", a przechodząc ulicami, mijam czasem Dziecięcy Szpital Kliniczny im. Marii Skłodowskiej-Curie, będący darem państwa polskiego dla Rumunii po niszczycielskim trzęsieniu ziemi w 1977 roku. Bukareszt – jeśli jesteśmy wystarczająco uważni i poddamy się urokowi miasta-

kryje w sobie wiele polsko-rumuńskich niespodzianek i naprawdę myślę, że można tutaj mieszkać wiele lat i nadal odkrywać coś nowego. To wielki przywilej lektora jpjo w Rumunii, może on odkrywać polsko-rumuńskie relacje i tajemnice razem ze studentami i kolegami/ mentorami z pracy i uczyć się od siebie nawzajem.

Jako lektorka, pracuję w Zakładzie Filologii Polskiej, Wydziału Języków i Literatur Obcych Uniwersytetu w Bukareszcie. Mam szczęście współpracować z wybitnymi polonistami i tłumaczami literatury polskiej – prof. Constantinem Geambașu, dr hab. Cristiną Godun i dr Mariną Ilie. Dzięki tym tłumaczom rumuńscy czytelnicy mogą czytać arcydzieła literatury polskiej i nowości wydawnicze – m.in. Czesława Miłosza, Adama Zagajewskiego, Małgorzatę Lebdę, Olgę Tokarczuk, Andrzeja Stasiuka, Wisławę Szymborską, Stanisława Lema.

Na lektoracie języka polskiego poza zajęciami z literatury, kultury, praktycznego języka polskiego gramy ze studentami w gry dydaktyczne (jedną z najbardziej popularnych są „Państwa-miasta" czy kalambury), prowadzimy ciekawe rozmowy, oglądamy polskie filmy, organizujemy wycieczki do Polski i staramy się, żeby nasi studenci wyjeżdżali na programy i stypendia typu Erasmus czy szkoły letnie. Współpracujemy również bardzo blisko z kolegami i koleżankami z katedry, innych lektoratów w Rumunii (szczególnie bliską współpracę mamy z lektoratem w Jassach prowadzonym przez Dariusza Kasprzyka), wieloma placówkami dydaktycznymi i uniwersyteckimi, ośrodkami badawczymi w Polsce i za granicą. Mamy również duże wsparcie ze strony Instytutu Polskiego w Bukareszcie, Związku Polaków i polskich placówek dyplomatycznych.

W byciu lektorem w Rumunii wydaje mi się, że ważne jest poza przygotowaniem do zajęć i oczywiście pracą także pozytywne nastawienie do innych i poszukiwanie kreatywnych rozwiązań w różnych sytuacjach oraz otwartość na drugiego człowieka i przyjęcie niejednokrotnie całkiem odmiennej perspektywy i postrzegania rzeczywistości. W czasie pandemii nie mogliśmy np. z wiadomych względów przeprowadzić dla studentów warsztatów świątecznych. Po chwili namysłu postanowiliśmy zorganizować wspólnie z lektoratem języka słoweńskiego (lektorką Katariną Dovć) i Instytutem Polskim bardzo ciekawe spotkanie z Mitją Okornem, czyli słoweńskim reżyserem świątecznego hitu „Listy do M.", który zdradził na naszym polsko-słoweńsko-rumuńskim spotkaniu tajemnice dotyczące tej kultowej już produkcji. Było to spotkanie pełne miłej energii i dodało nam otuchy w tych trudnych dla nas czasach.

Myślę, że tak samo jak moi studenci, kursanci z kursów języka polskiego organizowanych przez IP, przyjaciele uczą się ode mnie, tak samo ja uczę się od moich studentów i współpracowników i sądzę, że właśnie to ludzie, którzy pojawili się w moim życiu pomogli mi i nadal pomagają stawać się lepszym nauczycielem i człowiekiem. Szczególnie na samym początku były dla mnie bardzo ważne gesty przyjaźni i wsparcia ze strony lokalnej społeczności i doceniam wszystkie osoby, które pomagały mi w tej podróży.

Radosław Budzyński

UNIWERSYTET STAMBULSKI, TURCJA

Notatka ze Stambułu

Jesteście gotowi na ostrą jazdę bez trzymanki? Zapraszam do Stambułu, miasta, które w języku polskim – nie wiedzieć czemu – zgubiło nagłosowe „I". Chociaż, czy zgubiło, czy nie zgubiło, to już bez gramatycznych rozważań historia tego miejsca jest wyjątkowo skomplikowana. Zresztą nie tylko historia. Samo przejście przez drogę może przyprawić o zawrót głowy, nawet jeśli wcześniej nie skusiliście się na jedną z miliona fajek wodnych, do których namawiają – raz natrętnie, raz natrętniej – nie tak bardzo miejscowi spece od rozrywek wszelakich.

Może i wszyscy za kierownicą mają prawa jazdy (daj Allahu!), ale czy zgodnie z prawidłami ruchu drogowego się poruszają, to ani ręki, ani nawet paznokcia obciąć bym sobie nie dał. Czerwone, zielone, wszyscy jadą, wszyscy idą – pierwszeństwo ma większy, znaczy się silniejszy i bardziej bezczelny. Pieszy ustępuje motorowi, motor jakiemuś staremu gratowi, stary grat – lepszemu, lepszy rzęch autobusom i ciężarówkom, te zaś gdy widzą odpowiednio kosztowną markę, to niczym potulne pieski kulą ogony i zjeżdżają na bok. W mieście, które pod względem wzgórz chciało dorównać Rzymowi, wiedza o tym jak się poruszać po uliczkach wijących się w górę i w dół niczym węże boa, które połykają schodzących, jest niezbędna. Długo zajęło mi zorientowanie się, jak to się robi, jak przejść na drugą stronę jezdni, by jednak zachować życie i zdrowie. Zwłaszcza, gdy chciałem – jak chyba każdy rasowy polonista – odwiedzić Adama, czy bardziej precyzyjnie – miejsce, gdzie ten Adam, z którego przecież my wszyscy, odszedł był.

Dziedziniec Wydziału Literatury Uniwersytetu Stambulskiego

Ulica Słodkich Migdałów. Schodząc w dół krętymi uliczkami, wzdłuż budynków, lata świetności mającymi już dawno temu za sobą, pomyślałem, że w takiej okolicy wieszcz faktycznie wtedy zbyt długo pożyć nie mógł. Do głowy nie przyszłoby mi, że sam będę w tym samym sąsiedztwie mieszkał przez prawie rok. I właśnie tutaj, kilkaset metrów „od Adasia" piszę te słowa. Dla szanujących się Stambulczyków okolica Tarlabaszi jest *ubi leones*, najlepiej tam się nie zapuszczać. Nie cieszy się dobrą sławą z różnych względów, chociaż do prestiżowej ulicy Istiklal jest stąd rzut beretem.

Kontrasty w Stambule nie są niczym nowym, ale dla mnie to, co zobaczyłem w ciągu pierwszych kilku tygodni zamieszkania w tej okolicy, spowodowało nieomal szok, szczę-

Gablotka prowadzona przez naszych studentów

Główne wejście na Wydział

ście w nieszczęściu, że „tylko" kulturowy. Wcale nie mam na myśli nieproszonych pobudek przez wezwania na modlitwy skoro świt, czy opłakanego stanu fasad pięknych skądinąd budynków. To było coś nieopisywalnego. Może kiedyś coś o tym wspomnę. Na razie zbieram siły, żeby po raz kolejny wspiąć się pod górę i ulicą Omer Hayyam dojść do przystanku autobusowego, skąd codziennie prawie jeżdżę na uniwersytet.

Od września ubiegłego roku dzień w dzień przejeżdżam przez Złoty Róg, po turecku Halicz, i nieodmiennie nie przestaje mnie fascynować ten widok: minarety meczetu Sulejmana, kopuły Nowego Meczetu i stacja metra pośrodku słynnej odnogi Bosforu. Do pracy jedzie się stąd jakieś 30-40 minut, co jak na Stambuł jest naprawdę niezłym rezultatem, coś jak gdybym mieszkał w Warszawie przy Polu Mokotowskim, a pracował przy metrze Centrum. Mniej więcej, bo – oczywiście – znaj proporcjum, mocium panie. Gdzie Rzym, gdzie Krym... Tu drugi Rzym, ale gdzie Warszawie do Krymu? Perspektywa faktycznie może się gdzieś tu zgubić, zagubiona nie tylko w tłumaczeniu, przekładzie.

Na świat patrzy się tu przez tureckie okulary i wtedy to Polska jest krajem egzotycznym, dalekim, północnym, trochę *terra incognita*, bo jasne, jest Polska, ale jakim tam się mówi językiem? „Polackim"? Ano nie, mówi się językiem lechickim, językiem Lechitów (według Turków). Polska-Polonya – kraj, ale *Leh dili* – język polski. Bajki o pośle z Lechistanu można oczywiście między bajki włożyć, ale starodawne opowieści o Lechu, Czechu i Rusie warto mieć na podorędziu, żeby rozprawiać się na bieżąco z krążącymi po ulicach stereotypami o kraju Lechitów (i Lechitek?), czyli o ziemi naszej.

Żeby już kraj nad Wisłą nie był tylko w Polsce, czyli nigdzie, ale żeby „w Polsce" coś – przynajmniej dla studentów stambulskiej polonistyki – dla nich jednak znaczyło, żeby Polskę wypełnili oni swoją treścią. Mam nadzieję, że pomogą im w tym końcówki osobowe czasu teraźniejszego oraz narzędnik

liczby pojedynczej, to tym z roku przygotowawczego. Ich starsi koledzy, którzy nie porzucili myśli o zgłębianiu zasad polszczyzny, zajmują się m.in. fonetyką i składnią. To już weterani, którzy stoczyli niejedną walkę z Szczebrzeszynami, chrząszczami, trzcinami. Przez sytuację ekonomiczną swojego kraju muszą, niestety, nierzadko zmagać się bardziej przyziemnymi problemami, więc, niestety, nie zawsze finalizują dyplomem swoje filologiczne wysiłki. A szkoda, bo słuchanie niektórych Turków mówiących po polsku, to dla ucha filologa (ale nie ortodoksa) wspaniałość, delikates – sułtańska rodzynka. Coś orientalnie powabnego jest w tym akcencie, który przywodzi na myśl baśnie wiadomo ilu nocy. Coś przyciągającego uwagę tkwi w szyku wypowiedzi orzeczenie, kładącym na końcu zdania. U nas już się tak nie mówi. Albo rzadko.

To tylko jednak zauroczenie starym, dobrym, polskim słowem, gdyż rzeczywistość dookolna nie jest już tak przyjazna. Ottomańska biurokracja, wydawać by się mogło, odeszła do przeszłości wraz z nastaniem republiki. Cóż, kto nie zaznał na własnej skórze tureckich przepisów i opieszałości miejscowych urzędników, ten jakby nigdy goryczy nie zaznał. Ten kiedyś będzie się błąkać po świecie, żeby to maleńkie ziarenko gorczycy wyżebrać od guślarza czy innego wajdeloty. Trudno stwierdzić, którą z nieziemskich postaci romantycznego arcydramatu byłby urzędnik przeciągający sprawę otrzymania przeze mnie pozwolenia na pobyt i pracę w Turcji. Wątpię czy na głowie ma kwietny wianek, ale podpis czy pieczątka (a raczej ich brak) takiej osoby skutecznie życie twoje uprzykrzyć może.

I gdy już pełen rozczarowania jesteś, na skraju wyczerpania fizycznego ciągłym pod górę, wiecznymi schodami wszędzie umęczon jesteś – to w ulicznym tłumie dostrzegasz właśnie jego – czajczego, albo czajczyka, to jest osobę odpowiedzialną za roznoszenie herbaty. Jak dawniej w każdym szlacheckim domu dobrego zwyczaju była do robienia kawy osobna niewiasta, tak tutaj do roznoszenia herbaty – wciąż – jest osobny mąż. Kiedy już widzisz, że więcej się nie da dzisiaj załatwić, baterie rozładowane, to przynajmniej można niedrogo napić się niezłej herbaty w tych charakterystycznych pękatych szklaneczkach. Tak, łyk tego napitku, głęboki wdech, rzut okiem na tętniącą życiem ulicę i chwila wytchnienia, ale tylko chwila, bo zaraz trzeba wsiąść do tramwaju Bombaj-Kabatasz. Wjechać funikularem z Karakoy do góry, przedrzeć się przez tłumy Istiklal i znów przemierzyć węża w dół. Dzięki słonecznej pogodzie nawet „koło Adasia" jest jakby radośniej, żywiej, a ludzie – mimo wszechogarniającej biedy – jakby nie smutni, może nawet niektórzy z nich radośni, ale to dzieci. Mają zabawki, piłki, rowerki. Przesiadują na ulicach razem z babciami, ciociami i mamami. I tak do zmierzchu, i tak do nocy, i tak chyba od zawsze. „Odgłos izanu w cichym gubi się wieczorze".

Sarkofag Aleksandra Wielkiego w stambulskim Muzeum Archeologicznym

RENATA SIEGIEŃ
KANTON

Myśląc o różnicach kulturowych między studentami polskimi a chińskimi, przypomniała mi się historia sprzed kilku tygodni… Mam studentkę: dziewczynę zdolną, bystrą, wesołą i bardzo sympatyczną, a przy tym niezwykle pilną. Tę pilność obserwuję od 2018 roku, od jej początku studiów licencjackich. Ania jest trzeci raz w Polsce (licząc szkołę letnią), obecnie na rocznych studiach magisterskich. Poprzedni jej pobyt zbiegł się z czasem pandemii, więc nie zwiedziła Polski z tego i innych, osobistych powodów. Przed ostatnim wyjazdem z Chin wkładałam jej do głowy – Podróżuj, zwiedzaj, poznawaj, korzystaj, odrób straty. Obiecała – Będę…

Niedawno wydział, na którym studiuje Ania, zorganizował kilkudniowy, edukacyjno-rekreacyjny wyjazd w polskie góry, za darmo. O – myślę sobie – „wkręcę" Ankę w ten wyjazd, niech obejrzy, pozna, odpocznie od nauki. Kiedy odpisała grzecznie, że przeprasza, ale nie może, bo ma bardzo dużo nauki, nie może opuścić zajęć, pisze pracę itd., pomyślałam, że nie odpuszczę. Profesor, organizujący wyjazd i promotorka pracy napisali do niej, żeby jechała, że to nie wpłynie źle na jej wyniki. A ona… poprosiła mnie przez komunikator, abym „pozwoliła jej nie jechać" – więc odpuściłam.

I tak sobie myślę – zaproponujmy taką sytuację polskiemu studentowi: darmowy, atrakcyjny wyjazd w góry, dajmy mu przyzwolenie na opuszczenie zajęć i zapewnijmy swoje wsparcie. Odmówi? No chyba nie. A może tylko mi się wydaje…

I choć ta historia miała być anegdotą, to muszę tu podkreślić tzw. drugie dno.

Kto byłby w stanie namówić Anię do jakiegokolwiek atrakcyjnego wyjazdu, z zagranicznym włącznie? Ani dziekan, ani rektor ani nikt inny. Dlaczego? Ona wie, że jest na roku z Polakami i, aby nie odstawać zbytnio jako obcokrajowiec, musi poświęcić cały swój czas na naukę. Wie, że jej sytuacja ekonomiczna jest trudna i musi dać z siebie wszystko, żeby zasłużyć na stypendium i nie zawieść pokładanych w niej nadziei.

*imię studentki zmieniłam

Paulina Tabor

UNIWERSYTET PÓŁNOCNO-WSCHODNI W SHENYANG, CHINY

LEKTORAT JĘZYKA POLSKIEGO NA UNIWERSYTECIE PÓŁNOCNO-WSCHODNIM W SHENYANG

OPIS DOŚWIADCZEŃ GRUP LEKTORATOWYCH I ICH POZIOMU ZAAWANSOWANIA

SHENYANG – MIASTO PARTNERSKIE KATOWIC

Shenyang to miasto w północno-wschodniej części Chin, to również stolica prowincji Liaoning, zamieszkała przez ponad 9 milionów ludzi. Warto zaznaczyć, że Katowice to miasto partnerskie Shenyangu. Pierwszy kontakt między miastami miał miejsce w 1999 r., następnie w 2005 r. zorganizowano w Shenyangu Dni Polskie. W tym samym czasie odbyło się wiele rozmów na szczeblu regionalnym, a w 2007 r. podpisano umowę o współpracy.

NEU – JEDNA Z NAJLEPSZYCH UCZELNI W REGIONIE

NEU (tj. Northeastern University; pol. Uniwersytet Północno-Wschodni) to jeden z najlepszych uniwersytetów w prowincji Liaoning. W roku 2023 obchodził stulecie istnienia. Placówka ta skupia się przede wszystkim na nauczaniu kierunków technicznych, ma jednak również inne wydziały, w tym Wydział Języków Obcych, na którym nauczane są języki takie jak angielski, niemiecki, hiszpański, rosyjski czy właśnie polski.

JAK TO WSZYSTKO SIĘ ZACZĘŁO?

Lektorat języka polskiego na NEU został utworzony w roku 2013. W tamtym okresie podpisano również umowę bilateralną między UŚ (tj. Uniwersytetem Śląskim) i NEU. Zgodnie z jej postanowieniami studenci obu uczelni mogą wyjechać na uczelnię partnerską, aby uczyć się języka polskiego lub chińskiego przez jeden semestr. Następnie w roku 2015 otwarto Centrum Studiów Polskich i podpisano pierwszą umowę o podwójnym dyplomie między uczelniami. Zgodnie z postanowieniami umowy, po trzech semestrach nauki języka polskiego na NEU, studenci filologii rosyjskiej mogą wyjechać do Polski i po dwóch latach nauki otrzymać podwójny dyplom.

W związku z prężnie rozwijającą się współpracą pomiędzy naszymi placówkami w tamtym okresie, przyjechałam do Chin z dużą dawką energii i motywacji do działania. Rozpoczęłam swoją pracę na uniwersytecie w Shenyangu w sierpniu 2017 r. Jest to bardzo ciekawe doświadczenie, które z pewnością wzbogaciło mój warsztat lektorski.

GRUPY LEKTORATOWE I ICH POZIOM ZAAWANSOWANIA

I

Na uczelni mamy kilka kursów języka polskiego, w zależności od semestru. Jednym z najważniejszych jest intensywny kurs języka polskiego dla rusycystów, który trwa trzy semestry. Zaczyna się on w semestrze letnim, na pierwszym roku studiów, a kończy się w semestrze letnim drugiego roku studiów. Następnie studenci mają szansę wyjazdu do Polski na dwa lata i zdobycia podwójnego dyplomu, zgodnie z postanowieniami umowy o podwójnym dyplomie z Uniwersytetem Śląskim.

Zazwyczaj najwięcej studentów zapisuje się na pierwszą część kursu. W tym semestrze to aż 25 osób. Następnie zazwyczaj naukę kontynuują już te osoby, które są zainteresowane wyjazdem do Polski lub po prostu bardzo polubiły sam język. Obecnie na trzecim semestrze mam 6 studentów. Poziom zaawansowania grupy po ukończeniu trzech semestrów to zazwyczaj A2. Nauka trwa 16 tygodni w semestrze, razem 64 godziny (4 h tygodniowo; godzina lekcyjna na NEU trwa 50 minut). W przypadku 3 semestrów razem daje 192 godziny języka polskiego. Wielu studentów z tego kursu bierze także udział w kursach letnich NAWA, co pozwala im na podszkolenie swojej znajomości języka i wiedzy o samej Polsce.

II

Drugim i najstarszym kursem jest semestralny kurs języka polskiego dla studentów wszystkich kierunków studiów. Są to łącznie 32 godziny języka polskiego. Kurs czasem trwa 8 (4 h raz w tygodniu) lub 10 (3 h raz w tygodniu), a nawet 16 tygodni (2 h w tygodniu). W trakcie kursu staram się przekazać studentom podstawy języka polskiego oraz prezentować krótkie wykłady lub warsztaty

dotyczące polskiej kultury. Poziom zaawansowania kursu, z oczywistych względów, jest na dość niskim poziomie i zdecydowanie po jego ukończeniu studenci nie wykraczają poza poziom A0. Najważniejszym celem kursu jest jednak zainteresowanie studentów samym państwem, jakim jest Polska. Ponadto, studenci, którzy ukończą ten kurs, mają pierwszeństwo, jeśli chodzi o semestralne wymiany z UŚ, w ramach których mogą kontynuować naukę języka polskiego i przedmiotów kierunkowych za darmo.

III

W semestrze letnim mam również semestralny kurs „zaawansowany" języka polskiego dla studentów wszystkich specjalizacji. Trudno jednak traktować słowo „zaawansowany" w nazwie zbyt poważnie. Jest to bowiem jedynie kontynuacja kursu podstawowego. Są to również 32 godziny nauki języka. Na kurs ten zapisują się studenci, którzy już znają język polski, ale czasem niestety i tacy, którzy nigdy wcześniej nie mieli z nim styczności. To sprawia, że zorganizowanie tego typu zajęć jest bardzo trudne. Niełatwo jest bowiem zaangażować wszystkich studentów we wszystkie aktywności. Uważam, że mimo wszystko kurs ten może pomóc studentom lepiej zrozumieć polską kulturę i poznać podstawy języka polskiego, co może w przyszłości zaowocować chęcią odwiedzenia naszego kraju czy nawet kontynuacją nauki w Polsce.

PROGRAM O PODWÓJNYM DYPLOMIE I JEGO BENEFICJENCI

Program 2 + 2, tj. program o podwójnym dyplomie, wspomniany wcześniej, wciąż cieszy się dużym zainteresowaniem. Co roku studenci filologii rosyjskiej mają szansę wziąć w nim udział. Pierwsza studentka w ramach tej wymiany obroniła się w 2019 r. Od tego czasu już 7 studentów uzyskało podwójny dyplom UŚ i NEU. Aktualnie w Polsce w ramach naszej umowy przebywa 5 studentek.

Jednym z najbardziej utalentowanych i pracowitych studentów był pan Liang Lin. Od początku wykazywał duży talent do nauki języków obcych. Udzielał się również w wielu wydarzeniach i aktywnościach związanych z językiem polskim i Polską na NEU. Po ukończeniu studiów licencjackich w ramach Programu 2 + 2 rozpoczął naukę na Uniwersytecie Warszawskim, na kierunku kulturoznawstwo Europy Środkowo-Wschodniej. Aktualnie pan Lin pracuje na Uniwersytecie Changchun (CCU), gdzie uczy polskiego i rosyjskiego. Zdążył już także opublikować swój artykuł w książce „Młoda Slawistyka". W przyszłym roku akademickim planuje powrót do Polski na studia doktoranckie. Historia ta pokazuje, iż pomimo że język polski nie jest kierunkiem studiów beneficjentów tego programu, jego nauka może pozwolić im na znalezienie dobrej pracy, a także rozpoczęcie kariery akademickiej – zarówno w Chinach, jak i poza nimi.

CO DALEJ?

W przeszłości, w ramach Centrum Studiów Polskich, organizowaliśmy różne wydarzenia dotyczące języka i kultury polskiej, w tym Tydzień Kultury Polskiej. Mam nadzieję, że uda nam się do tego wrócić. Choć nie mamy tutaj filologii polskiej, zainteresowanie nauką języka wciąż jest dość spore. Studenci chętnie zapisują się na zajęcia. Mam zatem nadzieję, że promocja języka polskiego i Polski w Shenyangu, a także współpraca z polskimi placówkami edukacyjnymi i dyplomatycznymi będzie trwać i dobrze się rozwijać.

JAK STUDENCI I ROKU POWOLI PRZECHODZĄ NA JĘZYK POLSKI?...

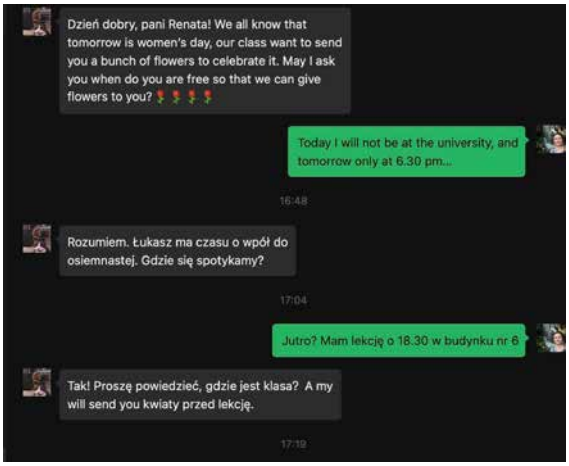

ROBERT ROMANOWICZ

Agnieszka Mikulec

UNIWERSYTET EKONOMICZNY W TASZKENCIE, UZBEKISTAN

WIOSNA, ACH TO TY!

TRADYCJE WIOSENNE W UZBEKISTANIE

Jest poranek, ostatnia niedziela przed datą 21 marca. Dziwi mnie nadzwyczajny ruch na ulicach Taszkentu, duża liczba ludzi wokół instytucji państwowych – szkół, szpitali, hoteli. Jedni zamiatają, inni wyrywają chwasty i trawę, wyrastające pomiędzy płytkami. Kilka osób maluje ogrodzenia lub krawędzie chodników. Nie są ubrani jak służby komunalne, wręcz przeciwnie; panie mają zadbane fryzury i ślady makijażu na twarzach. Postanawiam zaczerpnąć informacji u źródła, co to wszystko znaczy. Pytam więc sympatyczną, starszą panią, która zdziwiona moją niewiedzą, wyjaśnia, że to ostatnia niedziela przed *Nawruzem*, zatem nauczyciele, pielęgniarki, lekarze biorą udział w powszechnym porządkowaniu terenów wokół swoich miejsc pracy.

Nawruz to początek wiosny, a w tradycji m.in. krajów Azji Centralnej również Nowy Rok. Dekoruje się więc wiosennymi symbolami ulice, na słupach powiewają różnokolorowe flagi, trzepocą na wietrze ogromne fotografie dzieci w narodowych strojach, nocą główne arterie miasta zdobią iluminacje w kształcie barwnych tulipanów, motyli, ptaków, słońca. Na bazarach sprzedawcy latawców przeżywają prawdziwe oblężenie. Czuć też wiosnę w parkach po rozkwitających na biało i różowo drzewach i pachnących dywanach fiołków. Bardzo popularna jest w tym czasie *ko'ksomsa* (bułka z ciasta francuskiego) z zieleniną. W ciągu roku raczej pieczona z mięsem lub ziemniakami w tradycyjnych piecach zw. *tandyrami*.

Sprzedawczyni z *sumalakiem*

JEDWABNA WIOSNA

W przygotowanie *Nawruza* włączają się nie tylko organizacje, stowarzyszenia, ale również instytucje kulturalne. Trafiam na niezwykłą wystawę „Wiosenny jedwab". W galerii zebrano kolorowe, bogate we wszelakie wzory, wykonane ręcznie, kilkumetrowe tkaniny. Dominuje głównie *adras* – materiał bawełniany na jedwabnej osnowie. Ekspozycja została pomyślana tak, aby przedstawiała przeplatane nitki. Technologia wytwarzania tego materiału jest podobna jak w czasach starożytnych, dlatego też ten sposób powstawania tkaniny został niedawno wpisany na listę UNESCO.

Kuratorka wystawy opowiada, że prace jednego z artystów-rzemieślników – Rasulżona Mirza Achmedowa są niezwykle cenne, między in-

Sprzedawcy latawców

nymi dlatego, że do farbowania nitek używa naturalnych barwników pochodzenia roślinnego. To on, jako pierwszy, po odłączeniu się od ZSRR i odzyskaniu przez Uzbekistan niepodległości, zapoczątkował powrót do tradycji tkactwa, założył cech, który teraz liczy prawie 2 tysiące członków. Poznaję również historię jego ojca, który za to, że tkał w domu *adras*, w czasach sowieckich, został skazany na 5 lat więzienia.

Podążam za opowieścią przewodniczki niczym za nitką Ariadny, by pogłębić wiedzę na temat wykorzystywanych kolorów i kształtów, które generalnie sprowadzają się do dwóch kręgów tematycznych: ochrony przed złymi mocami – stąd formy amuletów i intensywność kolorów oraz zapewnienia płodności, np. motyw granatu czy fallusowy kształt. Dowiaduję się również, że dziewczyny wplatały w warkocze jedwabne nitki, aby nieprzyjazne duchy zaplątały się ewentualnie właśnie w nie, a nie we włosy. Wierzono bowiem, że we włosach dziewczyny zamieszkuje część jej duszy. Natomiast biżuteria na rękach, nogach służyła zagłuszaniu kroków kobiety, by demony nie wiedziały, dokąd idzie i przypadkiem (lub nie przypadkiem) nie podążały za nią.

WIOSENNE DANIE W UZBEKISTANIE

Aby zrozumieć, czym jest *Nawruz* w Azji Centralnej, udaję się na spektakl dla najmłodszej widowni pt. „Nawruz i Wiosna". Najpierw dzieci zostają zaproszone do różnych zabaw ukazujących przygotowania do święta. Uczestniczą w konkurencjach: kto szybciej przygotuje stół z potrawami, kto z zamkniętymi oczami nazbiera więcej kwiatów do dekoracji domu, kto w rytm muzyki założy tradycyjny strój uzbecki, czyli *chałat*, chustę wokół bioder i nieodzowną *tiubietiejkę* (tradycyjne nakrycie głowy).

Później odbywa się niezwykle malowniczy spektakl, jak to siły zła próbują nie dopuścić Wiosny do ludzi. I wtedy pomaga… *sumalak*. Przedmiot? Magiczna siła? Stworek? Nic z tych rzeczy. *Sumalak* to przygotowywany z kiełkujących ziaren pszenicy tutejszy specyfik. Można go nazwać eliksirem zdrowia i młodości, ponieważ głównym składnikiem potrawy są właśnie kiełki. Ich lecznicze właściwości znane były ludzkości od czasów starożytnych, a obecnie wykorzystuje się je w medycynie oraz w przemyśle perfumeryjnym. Od zawsze ściśle przestrzegano rytuału przygotowania *sumalaka*. Tuż przed *Nawruzem* ludzie zbierają się w rodzinach, po sąsiedzku i w du-

żych kotłach gotują kiełki zboża z wodą przez cały dzień i noc, cały czas mieszając miksturę. Na dnie kotłów umieszczają kamienie, aby nic się nie przypaliło. Według tradycji nadzór nad właściwym przygotowaniem *sumalaka* sprawuje najstarszy mężczyzna w rodzinie. Na bazarze sprzedawcy *sumalaka* ustawiają swoje duże gary na stołach, pozwalają degustować i zachęcają do kupna. Znawcy tematu twierdzą, że na bazarze nie ma prawdziwego *sumalaka*, ponieważ niektórzy dodają mąkę lub cukier, aby był bardziej gęsty i słodszy.

W spektaklu pokazana jest jedna z wersji legendy wyjaśniająca, jak powstał ten wiosenny, słodki przysmak. Biedna wdowa, tuż po zimie, kiedy zapasy jedzenia skończyły się, martwiła się, że jej dzieci głodują. Patrzyła z ogromnym bólem serca, jak słabną. Prosiła Boga o pomoc. Wtedy zjawił się Anioł i podpowiedział jej, co zrobić. Przygotowała kocioł i wrzuciła do niego ziarna pszenicy, które zauważyła na polu, a z nich zaczęły już wychodzić zielone kiełki. Dzieciom tłumaczyła, że posiłek będzie bardzo smaczny, muszą tylko cierpliwie poczekać. Kiedy głodne dzieci dopytywały co chwilę o jedzenie, matka odpowiadała, że jeśli wytrzymają jeszcze trochę, to ona doda mięsa, a wtedy wyjdzie pyszna potrawa. Mówiąc to, wkładała do kotła kilka kamieni i sprawiła, że dzieci uwierzyły. Nie mogąc się doczekać, głodne i osłabione zasnęły. Matka mieszała pszenicę z wodą jeszcze całą noc. Zmęczona, zdrzemnęła się na chwilę, a kiedy się obudziła, zobaczyła kocioł wypełniony po brzegi ciepłą, brązową substancją. Na jej powierzchni dostrzegła obraz skrzydeł. Kobieta nie tylko nakarmiła dzieci, ale podzieliła się słodkim przysmakiem z sąsiadami, którzy również głodowali.

Po dziś dzień Uzbecy kultywują zwyczaj dzielenia się *sumalakiem* z sąsiadami i przyjaciółmi. Uważa się, że należy skosztować *sumalaka* z siedmiu różnych kotłów, aby mieć później szczęście. Myślę, że w tym przekonaniu zawarta jest mądrość ludowa, iż dzielenie się z innymi przywołuje nie tylko tę upragnioną po zimie, zieloną porę roku jaką jest wiosna, ale też daje jej poczucie w sercu.

Tańce na ulicy

Zakład tkacki w Margielanie

PAWEŁ ZACHAREWICZ
ANKARA

– Kto to jest? – spytał Mars ze zdziwieniem, a może zaskoczeniem.

– Pani P., pod nieobecności *chargé d'affaires* przyjechała na rozmowy z władzami uczelni, reprezentuje naszą Ambasadę, pion kultury.

– Ona..??

– Ale o co ci chodzi, świetnie zna turecki!

Siedzieliśmy z Marsem na dziedzińcu Uniwersytetu Ankarskiego, opodal sklepiku z przekąskami, napojami i kawą. Polska delegacja właśnie zniknęła w korytarzu rektoratu. Mars był z Kirgistanu, wieczny student, poznał już kilka tureckich uczelni, znał biegle tutejszy język a także rosyjski, angielski i bardzo szybko chwytał polskie słownictwo. Nie był moim studentem, a szkoda. Doskonale orientował się w tutejszej kulturze. Rozmowy z nim były dla mnie inspirujące.

– A ile ona ma lat? – Spytał, mocno marszcząc brwi na czole, co miało coś oznaczać, ale jeszcze nie wiedziałem co.

– 28, jeśli dobrze pamiętam.

Mars zarechotał, z rozbawienia uderzając rękami swoje kolana, co często zwykł czynić w sytuacjach szczególnych – Jesteście niespełna rozumu! – Dorzucił przez śmiech.

– Nie rozumiem...

– Paweł... – zaczął Mars, i spojrzał na mnie wzrokiem pełnym politowania z dozą współczucia. – W dyplomacji ottomańskiej nie chodzi tylko o to, że ktoś ładnie mówi, a nawet mądrze, ale chodzi też o formę, rozumiesz?

– Przecież Pani P. jest wykształcona, ma tytuł doktora i jest całkiem atrakcyjną kobietą.

– Tak, ale w oczach rektora, dziekana, to dziecko! Ona jest za młoda, aby rozmawiać o poważnych sprawach, nikt jej serio tutaj nie potraktuje. Co więcej, strona turecka może nawet poczuć się dotknięta, że polska ambasada przysłała na ważne rozmowy kogoś tak młodego. To oznaka braku szacunku. Po chwili dorzucił: – Ona niczego tutaj nie załatwi – i były to prorocze słowa.

Po chwili kontynuowaliśmy wątek o dyplomacji, ale już w tonie ogólnym. Mars wskazał na nieporozumienia, wynikające z różnic kulturowych, i muszę przyznać, że ta rozmowa, którą wciąż żywo pamiętam pomimo upływu lat, wiele mnie nauczyła.

– Problem w rozmowach zachodnich przedstawicielstw z tureckimi polega głównie na tym, że w dyplomacji tureckiej unika się mówienia wprost, o tym, co leży na sercu, co jest faktycznym tematem spotkania. A ludzie Zachodu – jak sam wiesz – od razu chcą przejść do meritum sprawy, bo szanują swój czas i czas rozmówców.

– Chcesz powiedzieć, że jeśli Turcy unikają podjęcia tematu spotkania zgodnie z kanonem swojej dyplomacji…

– To wtedy ludzie Zachodu są zdezorientowani i myślą, że turecka delegacja ich ignoruje, unika podjęcia tematu spotkania, więc może w międzyczasie zmienili swój zamysł i będą chcieli „coś więcej". A do tego „więcej" nie jest przygotowana zachodnia delegacja.

– A z drugiej strony – zacząłem rozumieć – jak zachodnia delegacja od razu zaczyna od „konkretu"…

– No właśnie, to pojawia się popłoch w tureckiej delegacji, bo skoro „oni" zaczynają od tego tematu, to być może, chodzi im o coś innego, o coś więcej, i to jest zaskoczenie, bo turecka delegacja nie jest przygotowana na „coś więcej".

– I pojawia się napięcie i konflikt.

– Tak.

– To jak wygląda dobra rozmowa w dyplomacji, po turecku?

– Rozmawia się o wielu różnych kwestiach, ale unika głównego tematu, to jest jak wstępne rozpoznanie. Ale to też czas na to, aby wzajemnie okazać sobie szacunek, poznać się. Najlepsza dyplomacja to taka, gdy w ogóle nie porusza się głównego tematu, ale obie strony wiedzą, że doszły do porozumienia. Czasem to może być jedno metaforyczne zdanie na końcu spotkania.

***

Już wkrótce miałem poznać zasadność słów Marsa. Wieloletni konsul pan L.F., który w tamtym czasie pełnił również obowiązki ambasadora RP, musiał na uczelni interweniować w mojej sprawie. Wyglądał trochę jak Turek i podobno, gdy podróżował po Kapadocji i rozmawiał z Turkami, to mało kto orientował się, że jest cudzoziemcem.

Moja sprawa wyglądała źle (może jeszcze o tym kiedyś opowiem ku przestrodze), do tego stopnia, że uczelnia nie informując, skreśliła mnie z listy wykładowców i odcięła mi finanse, o czym dowiedziałem się dopiero, jak przyszło mi bezskutecznie dobijać się do bankomatu. Zatem było na ostro, a interwencja pana Konsula należała do tych z kategorii *mission impossible*. W spotkaniu z Rektorem Uniwersytetu Ankarskiego towarzyszyła mu jako asystentka pani P., wspomniana już powyżej. I to właśnie od niej dowiedziałem się o przebiegu spotkania.

– Paweł, udało się, musisz podziękować panu L.F., to co on zrobił to był majstersztyk!

– Co się stało? Długo rozmawialiście z Rektorem?

– Ja nic nie mówiłam, tylko pan Konsul, gdzieś prawie godzinę.

– Prawie godzinę o mnie?

– Hmm…, jak ci tu powiedzieć, właśnie o tobie to było jakieś 5 minut na koniec.

– To o czym oni rozmawiali? – zapytałem zdziwiony, i w tym samym momencie stanęła mi przed oczami rozmowa z Marsem.

– A o wszystkim. Pan L.F. tak poprowadził rozmowę, że miało się wrażenie, że już po pół godzinie rozmawiają ze sobą starzy znajomi. Świetnie się dogadywali w wielu tematach. Nigdy w życiu nie byłam świadkiem takiej rozmowy i takiej dyplomacji. Z obu stron. Pan Rektor bardzo polubił pana Konsula i było widać na koniec, że wszystko, co tylko mógł zrobić dla ciebie, to zrobił. Tak więc pieniądze już jutro będziesz miał odblokowane.

ROBERT ROMANOWICZ

Paweł Zacharewicz

UNIWERSYTET STUDIÓW MIĘDZYNARODOWYCH W XI'ANIE, CHINY

KRZESŁO NA DACHU

Krzesło na dachu. Zauważyłem je w zeszłym roku, ale musiało tam stać już znacznie dłużej. Może nawet całe lata. Padał deszcz, odsłoniłem firanki, zobaczyłem je. Na niskim budynku, poniżej, naprzeciwko. Samotne, mokre, przyjmujące na siebie uderzenia kropel. Kontrastowało z pustą przestrzenią wokół. Przypomniała mi się sytuacja z przejazdu kolejowego w Miłocinie. Siedziałem w autobusie do Lublina. Szlaban zamknięty. Ustawiło się wiele samochodów. Przejazd pociągu opóźniał się. Trwało to dobre dziesięć minut. Gdy zniecierpliwienie narastało, naszym oczom ukazał się niezwykły widok. Zamiast pociągu po torach jechała niebieska, stara Warszawa. Przemknęła, choć nie tak szybko jak sugeruje to słowo przemykać, z lewej strony na prawą. Nie wiem, co było w tym większą metafizyką, jadący po torach samochód, choć bez opon, czy bardziej ten jego jaskrawo-niebieski kolor, piękny, radosny, odbierający niebu cały splendor. W autobusie zrobiła się cisza, twardsza od granitu. Cisza jak lustro. Teraz też było cicho. Krzesło na dachu – jak zastygły bocian na łące podczas deszczu. Krzesło było puste. To też intrygowało. Drewniane w kolorze orzecha, wyraziste w swej barwie od zgromadzonej wilgoci, jakby świeciło. Cztery nogi, dwie przednie wyprostowane jak do defilady, dwie tylne zapierały się w lekkim rozchyleniu, jak zapaśnicy; oparcie lekceważąco odchyliło się lekko ku tyłowi, z ciekawym, nieco secesyjnym profilem. Trzeba przyznać, że w jego młodości mogło się podobać niejednemu stołowi. Dziś już było krzesłem po przejściach, z dorobionym, grubym i zupełnie nie pasujących siedziskiem. Zastanawiałem się jakie drzewo użyczyło mu swojego życia. Opodal pod budynkiem po prawej stronie stał rząd smukłych miłorzębów, nieco dalej dorodne platanowce tworzyły szeroką, prostą alejkę.

Odkąd pierwszy raz zauważyłem to krzesło na dachu, codziennie rozsuwam firanki z nadzieją, że znowu je zastanę, i tak się dzieje. Jest! Widziałem je już w każdej scenerii. W silnym słońcu lata, smagane wiatrem i deszczem jesieni, przyprószone pyłem wiosennych piaskowych burz, a nawet okryte prześcieradłem ze śniegu. Puszysty, radosny brokat utrzymuje się w mieście przez kilka dni zimy, tworząc zaskakujące kontrasty. Pierwszy raz widziałem tutaj palmy pochylone pod ciężarem śniegu. Okno mojego hotelu na piątym piętrze góruje o dwa piętra nad sąsiednim budynkiem, na którym, dosłownie, ktoś postawił to krzesło. Lubię moje okno. Kiedyś, dwa lata temu, porą letnią i jesienną wpływały przez nie serenady cykad. Uwielbiałem te wieczory i noce, gdy mogłem się w nie wsłuchiwać. Cykady zamieszkały w małym bambusowym gaju przed hotelem. Zbliżała się zima, śpiewały coraz mniej. Zatęskniłem wówczas, aby mieć cykadę w domu, żeby śpiewała mi w zimowe wieczory. Któregoś dnia wyszedłem na zewnątrz, zostawiając otwarte okno. Cykada ze złamaną nogą pojawiała się na moim białym dywanie. Przestraszyłem się, pierwszy raz widziałem cykadę z bliska, była ogromna i nie bardzo wiedziałem, co z nią począć. W końcu na kawałku papieru eksmitowałem ją za okno. A potem ugryzłem się w język, to znaczy w myśl, bo trzeba uważać o czym się myśli i czego się pragnie. Niektórzy twierdzą, że gdy Bóg chce nas upokorzyć, to spełnia

nasze pragnienia. Kiedyś, zanim pojawiło się to krzesło, ale już po sytuacji z cykadą znalazłem na parapecie, mimo zamkniętego okna, sporej wielkości zielonego żuczka, tego który ma na grzbiecie jakby średniowieczną tarczę rycerską. W Polsce też takie są, ale znacznie mniejsze. Podobno, gdy się przestraszą, odpędzają agresorów nieprzyjemnym zapachem. Złapałem go do kubka i wylałem za okno, z widocznym zniechęceniem przypomniał sobie jak się lata, i skierował się właśnie na dach sąsiedniego budynku. Za dwa dni znowu spacerował po moim parapecie, tym razem w kuchni, a potem zaglądał mi do garnków. Ponownie dokonałem eksmisji, poleciał w stronę krzesła na dachu, to znaczy w stronę miejsca, gdzie wkrótce miało pojawić się krzesło. Kilka dni później wyjmowałem z kontaktu kabel od przedłużacza, ale nie zdążyłem jeszcze dobrze go ująć, kiedy opuściłem z przerażeniem. Spod mojej ręki wyskoczył żuczek, potoczył się na podłogę i równie przerażony co ja, pobiegł kilka kroków w stronę stojaka na kwiaty. Zrobiło mi się przykro z jego powodu. To ten rodzaj empatii, która pojawia się w nas, gdy dostrzegamy, że ktoś ma podobne doświadczenia do naszych, gdy widzimy i nagle rozumiemy, że moje przerażenie i jego przerażenie, jak w tym przypadku, jest tej samej natury. To wydarzenie zbliżyło nas do siebie. Ująłem go na kartkę papieru, ale tym razem nie wylądował za oknem, tylko łagodnie posadziłem go na listku rośliny w mojej doniczce. Odniosłem wrażenie, że początkowo nie bardzo ufał w moje dobre intencje, ale po chwili jakby refleksji, poczuł się pewniej i zaczął rozglądać się po swoim nowym królestwie. Generalnie, jak na żuczka przystało, był mało ruchliwy. Wydawało mi się, że jest w stanie ciągłej kontemplacji, przerywanej od czasu do czasu ingerencją świata zewnętrznego, jak na przykład nagła a nieprzyjemna eksmisja za okno, czy pomylenie go z kablem od przedłużacza. Dopiero teraz zdobyłem się na to, by mu się bliżej przyjrzeć. Był już w podeszłym wieku, jeśli się ruszał to bardzo powoli, z namysłem, kulał wyraźnie na jedną nogę. Wyobraziłem sobie, że być może to jego ostatni sezon, że jego partnerka już odeszła a dzieci usamodzielniły się i zaczęły własne życie. Kto wie, czy jego uparte wtargnięcia do mojego domu nie były popędem w stronę śmierci. Trudno, kolego, pomyślałem, skoro tak to możesz u mnie zamieszkać. Za oknem robiła się szaruga, zbliżała się późna jesień, były małe szanse, aby przeżył na dworze zimę. I tak spotkałem pierwszego chińskiego przyjaciela. Dyskretny, milczący przyjaciel, który przyleciał z miejsca z sąsiedniego dachu, na którym teraz stoi krzesło i moknie. Natrętnie powracała mi myśl, pytanie, z jakiego drewna jest to krzesło, jakie drzewo użyczyło twórcy swojej tkanki? Lubiłem myśleć, że jest to krzesło z miłorzębu.

W trakcie studiów polonistycznych na UMCS w Lublinie poznałem Andrzeja Gągałę, specjalistę od drzew. Po zajęciach z poetyki lubił spacerować po Ogrodzie Saskim i przysłuchiwać się drzewom. Świetnie orientował się w ich ukrytym życiu, znał ich emocje i tęsknoty, wiedział, które drzewa się nie lubią, które okazują sobie sympatię, a które zazdrośnie konkurują ze sobą. Opowiadał o nich z tym błyskiem w oczach, które zobaczyć można w oczach młodych matek, gdy mówią o swoich pociechach. Niestety po pierwszym semestrze okazało się, że Andrzej choruje na schizofrenię, silne psychotropy znacznie stępiły jego komunikację z drzewami. To był ten moment, gdy sceptycy odetchnęli z ulgą, a reszta zamilkła. Na drugim roku nie było już Andrzeja z nami na polonistyce i temat uznano za zamknięty. A jednak lubię myśleć, że krzesło na dachu zrobiono z miłorzębu. Dzięki rozwojowi nauki wiemy dziś sporo o informacji zawartej w DNA. Słowo "informacja" jest tutaj kluczowa. Gdybym miał określić najważniejszym terminem nasze czasy, nazwałbym je czasem „informacji". Informacje tworzą programy. „Program" to kolejne słowo klucz naszych czasów. Nie Internet właśnie, nie DNA, choć to dzięki rozwojowi z tych dziedzin możemy dziś pochylić się nad istotą „informacji" i „programu". Lubię myśleć, że krzesło na dachu zrobiono z miłorzębu. Mi-

łorzęby są długowieczne. Wiem, bo kiedyś w Polsce czytałem o tym w jakiejś książce, a teraz wiem bardziej jeszcze, bo w Chinach spotkałem takie drzewa osobiście. Szkoda, że Andrzej nie może ich zobaczyć. Lubię myśleć, że drzewa poprzez nasiona przekazują swoją pamięć kolejnym pokoleniom. I nie tę genetyczną jedynie, ale naprawdę pamięć, pamięć wszystkiego co widziały, co słyszały, co przeżyły. Niegdyś Xi'an, miasto w którym jestem, czyli Zachodni Spokój (Pokój), nazywało się Chan'an, czyli Wieczny Spokój i było stolicą dwunastu chińskich dynastii. Mieszkam nie byle gdzie, pocieszam się tak w chwilach pytań bez odpowiedzi. Jeden z cesarzy z dynastii Tang zasadził drzewo. Było to w VII wieku. Dynastia Tang zapisała się złotymi zgłoskami w historii Chin, i to dosłownie, zapisała się. To czas kulturowego rozkwitu, dobrobytu, pokoju. Poezje z tamtych lat stanowią do dziś niedoścignionу wzorzec. Dzieci w szkołach uczą się je na pamięć. To także czas, gdy gruntowała się pozycja buddyzmu w jego wyjątkowej, chińskiej formule. Choć z drugiej strony okolice Chan'an to również kolebka taoizmu, ze słynną akademią Lao Tsy. Jednak to było wcześniej. Teraz jest krzesło na dachu, zrobione z miłorzębu, które ma w sobie pamięć pewniej niespokojnej nocy w życiu cesarza Li Shimina. Nocą przyśnił mu się wodny smok i wydał na cesarza i dynastię wyrok śmierci. Noc po nocy groźby stawały się coraz bardziej zapalczywe. Cesarz postawił strażników, by go strzegli i walczyli z intruzem, lecz sytuacja była daleka od komfortowej. Być może w tych czasach granica między snem a jawą nie była tak zdecydowana jak dzisiaj, bo ostatecznie udało się smoka pokonać. Nim to się jednak wydarzyło, cesarz, zwrócił się o pomoc do Guanyin, żeńskiego aspektu miłosierdzia i współczucia, a w podziękowaniu za ofiarowaną pomoc ufundował klasztor buddyjski, na dziedzińcu którego osobiście posadził drzewo miłorzębu, dedykowane bóstwu. Było to w roku 628 n.e. Kilka dni temu odwiedziłem ten klasztor i to drzewo. Jest do dziś. Stanowi atrakcję turystyczną, zwłaszcza jesienią, kiedy to liście ogromnego miłorzębu stają się złotożółte i opadają, tworząc świętą aureolę wokół drzewa. Zdjęcia z dronów robią wielkie wrażenie. To wielkie dziś drzewo ma 1400 lat, jest w świetnej kondycji, wysokie i rozłożyste, pełne liści, góruje nad terenem, mając za plecami pasmo gór Qin Ling, a przed sobą płaskowyż Shaanxi ze starą stolicą cesarstwa. Drzewo Guanyin jest zapewne protoplastą mojego krzesła na dachu. W krześle jest pamięć także wydarzeń nieco dalszych, a również związanych z tym drzewem. Cesarz, ten który ufundował klasztor i posadził drzewo, miał prawnuka o imieniu Li Long Ji. Zapisał się w historii jako cesarz o imieniu Tang Xuan Zong. Pokochał on pewną kobietę. Znana jest ona pod imieniem pełnionej na dworze cesarskim funkcji, jako Yang Gui Fei, konkubina Yang. Jej piękność jest legendarna. Zwano ją również Jadeitowym Klejnotem, Yang Yu Huan. Do tego stopnia jej uroda poruszała, że została uznana przez tradycję za czwartą „piękność chińską". W historii Państwa były jedynie cztery kobiety obdarzone tym tytułem. Jadeitowy Klejnot, żyjąca w VIII wieku była ostatnią. Cesarz pokochał ją szczerze, zapewne oboje nie raz spacerowali wokół miłorzębu Guanyin. Dziś wiele par odwiedza święte drzewo właśnie z tą intencją. Choć jak podpowiada mi krzesło na dachu, puste, trzeba zachować pewną ostrożność. Konkubina zdobyła znaczne wpływy w cesarskim pałacu, jej rodzina urosła w siłę. Nie spodobało się to arystokratycznym rodom. To akurat opowieść stara jak świat. W drugim okresie panowania cesarza Tang Xuan Zhong pojawiły się problemy, zapaść gospodarcza, najazdy sąsiadów, ogólne niezadowolenie. Należało szybko uspokoić społeczne nastroje, znaleźć winnego. Otoczenie cesarza oskarżyło najpiękniejszą kobietę o czary i rzucenie uroku na Cesarstwo. Cesarz, choć kochał ją szczerze, nie miał wyjścia. Dla dobra kraju i dynastii kobieta została stracona. Zastanawiam się czasem nad losem tych dwojga. Nad tajemnicą losu. Tajemnicą miłości, władzy i powinności. Gdy jest się zmuszonym w imię powinności odebrać życie osobie, którą się kocha. Myślę o tej

chwili, o tych nocach, gdy w sercu cesarza dojrzewała decyzja. Społeczne niepokoje, płonące imperium, do niedawna ostoja spokoju, sztuki, pomyślności, domagały się aktu, który wyciszy ten ogień, a ogień domagał się ofiary, którą się nasyci. Myślę też o tym, jak wyglądały ostatnie tygodnie Jadeitowego Klejnotu. Jakimi ścieżkami podążały jej myśli? Gdy w imię powinności jest się postawionym w sytuacji utraty życia z rąk kochającego mężczyzny, ale również władcy, który przede wszystkim zabiegać musi o dobro państwa. Czy ta decyzja świadczy o jego sile czy jego słabości? Czy dla kochającej kobiety śmierć z rąk ukochanego jest łagodniejsza? Jakże odmienna jest ta postawa od znanej nam historii Achajów i wyniszczającej wojny trojańskiej o Helenę. Parys wolał pogrążyć królestwo w chaosie, niż oddać grecką piękność prawowitemu mężowi. Jedno jest wspólne. Siła oddziaływania żeńskiej energii, jeśli towarzyszy jej nadprzeciętna uroda, cokolwiek oznacza słowo „uroda", jest ogromna. Może i rację mają Grecy, gdy uważają, że szaleństwo stojące za reakcją na kobiece piękno jest inspirowane przez zazdrosne bóstwa. Każdą z „czterech piękności" chińskich spotkał okrutny los. Być może przed ostateczną decyzją, cesarz Tang Xuan Zong, zaprosił ukochaną na spacer do świątyni Guanyin. Usiedli w centralnym miejscu pod miłorzębem zasadzonym przez jego wielkiego pradziadka i patrząc sobie w oczy długo nic nie mówili, popijając, od czasu do czasu cierpką, zieloną herbatę z najlepszych szczepów. Kilka listków ze świętego miłorzębu znajduje się teraz w moim notesie. 1400 lat to szmat czasu, gdy pomyślę, ile osób podobnie jak ja teraz ukryło, w zeszycie czy książce, listki z tego drzewa, to czuję zawrót głowy. Myślę o tych niezwykłych poetach, o władcach, generałach idących na wojnę, o pięknych dwórkach o gładkiej, porcelanowej skórze, o buddyjskich mnichach, zatopionych w modlitwach, o kupcach udających się jedwabnym szlakiem w stronę Morza Śródziemnego, którzy zabrali kilka listków spod drzewa Guanyin, aby ich strzegła przed wodnym smokiem niepowodzenia i rozpaczy i czuję zawrót głowy. Odsłaniam wtedy szybko firanki w oknie i patrzę na krzesło na dachu, jak ciche stoi i mknie w jesiennej szarudze bądź uśmiecha się w ciepłym, listopadowym słońcu w mieście Wiecznego Pokoju, które z czasem stało się miastem Zachodniego Pokoju. Lubię wtedy myśleć, że miasto zmieniło nazwę na okoliczność mojego przyjazdu.

Xi'an, 2020 r.

Paweł Zacharewicz

***W stronę nowego paradygmatu*.**

Szkice o twórczości Wata, Gombrowicza, Stachury, Miłosza i Tokarczuk, Toruń 2008.

(Publikacja dofinansowana przez Ministra Nauki i Szkolnictwa Wyższego)

Fragment recenzji prof. dr hab. Jerzego Święcha:

"W pracy tej, bardzo ciekawej, Autor próbuje znaleźć odpowiedź na pytanie, czy kryzys paradygmatu cywilizacji zachodniej doprowadził do ukonstytuowania się czegoś, co niekiedy [...] bywa określane mianem nowej gnozy. [...] Tym, co w pracy Zacharewicza najbardziej przekonuje [...] jest intelektualna odwaga zmierzenia się z najbardziej fundamentalnymi pytaniami jakie stawia sobie i światu człowiek współczesny, nie znajdując dla dylematów, z którymi przyjdzie mu się zetknąć rozwiązań oferowanych mu przez zachodnią episteme.

[...] praca ta ma wszystkie, powiedziałbym klasyczne, właściwości eseju: jest próbą, szukaniem drogi, wytyczaniem pola pod przyszłą uprawę, propozycją nowego języka, a w humanistyce, jak wiadomo, nowy język to nowe problemy. [...] Książka ta jest odważna do granic ryzyka, ale właśnie przez to inspirująca, dobrze i sugestywnie napisana [...] porusza temat, który od dłuższego czasu stanowi przedmiot licznych dyskusji. [...] nietrudno dostrzec ryzyko, ale są to koszty wszelkich przedsięwzięć odważnych, zrywających z kanonicznymi ustaleniami."

Iwona Toczek

UNIWERSYTET IM. E.A.BUKETOVA W KARAGANDZIE, KAZACHSTAN

BYĆ LEKTORKĄ W KAZACHSTANIE

PRACA

W Kazachstanie od dziesięciu lat pracuję na Uniwersytecie im. E. A. Buketova w Karagandzie. Jest to miasto położone w centralnej części Kazachstanu, w obwodzie karagandyjskim. Stanowi centrum wydobycia węgla kamiennego. Wokół miasta znajdują się liczne kopalnie oraz huty. W czasach sowieckich na tym terenie znajdował się rozległy obóz pracy – Karłag, o powierzchni przybliżonej do powierzchni dzisiejszej Francji. Do Kazachstanu władza sowiecka zsyłała nie tylko Polaków, ale także przedstawicieli wielu innych nacji. Obecnie w Kazachstanie mieszka około 140 narodowości.

Na uniwersytecie prowadzę lektorat języka polskiego. Główną motywacją do nauki języka polskiego wśród studentów jest wyjazd do Polski. Uczelnia współpracuje z uniwersytetami w Polsce i organizuje wyjazdy w ramach programu wymiany studentów. Są to półroczne wymiany. Studenci wyjeżdżają m.in. na Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, Uniwersytet Gdański oraz Uniwersytet Śląski w Katowicach.

Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego Kazachstanu w ramach wymiany akademickiej oferuje także stypendia do Polski. Studenci mogą wyjechać na studia licencjackie, magisterskie oraz doktoranckie. Mają oni także szansę na wyjazd do Polski na letnie kursy języka polskiego na wybrany uniwersytet.

Chociaż lektorat języka polskiego nie jest obowiązkowy, oferta stypendiów oraz wymiany akademickiej, jaką proponuje Polska oraz Kazachstan, przyciąga młodych ludzi.

Studenci coraz bardziej interesują się możliwością wyjazdu do innego kraju, odbycia praktyk czy stażu w jednym z krajów europejskich. Jednak kwestie finansowe w znacznym stopniu ograniczają plany młodzieży. Podróż do Europy to wciąż bardzo duży wydatek. Dochodzą także kwestie kulturowe.

Oprócz zajęć z języka polskiego lektor organizuje dodatkowe spotkania, warsztaty, prelekcje, mające na celu promocję języka i kultury polskiej. Współpracuje także z uczelnią w organizacji wydarzeń z okazji ważnych świąt. Uczestniczy także w konferencjach metodycznych.

Lekcje języka polskiego prowadzę także w Karagandyjskim Obwodowym Stowarzyszeniu Polaków „Polonia". Praca z Polonią, z potomkami zesłanych w latach trzydziestych Polaków daje ogromną satysfakcję. Poprzez łączenie pracy w stowarzyszeniu oraz pracy w „Polonii" odnoszę wiele sukcesów, a uczniowie zyskują wiele korzyści.

CZYM ZACHWYCA MNIE KAZACHSTAN?

Kazachowie wywodzą się z ludu nomadów, który przemierzał stepowe tereny miesz-

kając w jurtach, zajmując się hodowlą bydła oraz polowaniem. Czasy się zmieniły, powstały miasta, ale charakter koczownika silnie wpływa na ich mentalność.

W Kazachstanie z zainteresowaniem poznaję obyczaje Kazachów, ich tradycje, stroje, kolory, ornamenty, obrzędy oraz kulinaria.

Tradycyjna kazachska kuchnia oparta jest głównie na mięsie. Kiedyś dominowała baranina oraz konina, dziś jest już większy wybór. Taka dieta podyktowana jest tradycją i koczowniczym trybem życia, ale głównie klimatem. Panują tu bardzo długie i mroźne zimy.

Najpopularniejszą potrawą jest *biszparmak*, co w tłumaczeniu oznacza pięć palców. W jej skład wchodzi ugotowany makaron, podobny jak dodajemy do lazanii oraz ugotowane mięso, różne jego rodzaje. Do picia podawany jest bulion z wygotowanego mięsa, zw. *siorbą*. Oczywiście, potrawa podawana jest na stole podczas ważnych uroczystości rodzinnych, jak wesela, urodziny, oraz na święta, kiedy do stołu zasiada cała rodzina.

Moim ulubionym pieczywem są *boursaki*, odpowiedniki pączków, lecz nie na słodko, tylko na słono, tak jak w dawnej polskiej kuchni. Dodatkowo można skosztować *kurdaku* (duszone mięso i ziemniaki), *mant* (farsz mięsny zawinięty w ciasto i ugotowany na parze w specjalnym garnku, tzw. mantownicy) oraz *płowu*, który znany jest także w ościennych krajach, czyli ryżu z mięsem i przyprawami.

Do picia podawany jest tradycyjnie *kumys*, czyli sfermentowane mleko kobyle lub *szubat*, mleko wielbłąda. Zarówno jedno, jak i drugie jest nie tylko bardzo smaczne, ale przede wszystkim nadzwyczaj zdrowe.

Te tradycyjne potrawy, rodowici mieszkańcy Kazachstanu jedzą podczas ważnych uroczystości i na święta. Na co dzień dominują proste potrawy do szybkiego przygotowania jak zupy, zapiekane ziemniaki, pierogi, jednak zawsze powinno być podane mięso.

GOŚCINNOŚĆ

Zaproszenie na herbatę

Kiedy jesteś pierwszy raz w nowym miejscu, w nowym kraju i otrzymujesz zaproszenie do domu na herbatę, nie możesz odmówić. Przyznam szczerze, że nie jestem zwolenniczką chodzenia do kogoś w gościnę, jednak wiedziałam, że w Kazachstanie zwyczaj ten jest popularny i bardzo ważny, więc oczywiście przyjęłam zaproszenie i w niedzielę, zaopatrzona w upieczoną szarlotkę, poszłam na herbatę. Spotkanie było umówione na godzinę 11:00. Pomyślałam, że wypijemy herbatę (kawa nie jest tu popularna, może tylko taka typu „trzy w jednym"), zjemy ciasto, porozmawiamy i za godzinę wyjdę.

Po przyjściu zaskoczył mnie ogromny stół, nakryty wieloma potrawami. Okazało się, że spotkanie, to były urodziny gospodyni, która skończyła siedemdziesiąt lat. Kolejno przychodzili goście z kwiatami, z prezentami. Spotkanie zakończyło się późnym wieczorem.

Zaproszenie na herbatę w kulturze kazachskiej to zaproszenie na obiad i na kilka godzin wspólnego siedzenia przy stole.

Atabaj i ferma wielbłądów

Na Boże Narodzenie wraz ze znajomymi pojechaliśmy do Ałmaty. To miasto położone na południu Kazachstanu, dawna stolica kraju. Nasz cel: wędrówki po górach. 24 grudnia wieczorem zamówiliśmy taksówkę, aby pojechać do kościoła na pasterkę. Taksówkarz, kiedy dowiedział się, że właśnie zaczynają się święta Bo-

żego Narodzenia, a my jesteśmy daleko od Polski i nie możemy tych dni spędzić z naszymi rodzinami zaproponował, że jutro po nas przyjedzie i zaprosi do siebie do domu na obiad. Przed obiadem zaproponował, że pokaże kilka interesujących miejsc. Oczywiście, zgodziliśmy się. Atabaj, tak miał na imię nasz przewodnik, pokazał nam interesujące miejsca za miastem, gdzie wyjeżdżają wspólnie z rodziną. Następnie zabrał do restauracji, którą prowadził jego kuzyn, hodowca wielbłądów i poczęstował pysznym *szubatem*.

Kiedy zadzwoniła jego żona i przekazała wiadomość, że obiad gotowy, pojechaliśmy do ich domu. Zostaliśmy przyjęci niezwykle serdecznie, jak prawdziwi goście. Śpiewaliśmy piosenki, oni grali na *dambrach*. Obdarowani prezentami, wróciliśmy do domu.

Beszbarmak na dobre potomstwo

Na majówkę wyjechaliśmy do miejsca, które nazywa się Bektau-Ata. Znajduje się około 200 km na południe od Karagandy. Przypomina ono krajobraz księżycowy, a dokładnie są to niewysokie górki, powstałe w wyniku erupcji lawy wulkanicznej.

Miejsce wydało mi się piękne, ale przeraziło mnie to, że nikogo tam nie było. Czułam się nieswojo. Maj, piękna pogoda, słońce. Spacerowaliśmy po górkach od rana, ale przyszła pora już wracać, więc powoli kierowaliśmy się w drogę powrotną. Przez cały dzień nikogo na drodze nie było. Nie spotkaliśmy żywej duszy...

Wynajęty przez nas miejscowy kierowca, zaprosił nas na obiad, a raczej kolację. Nie wiem, dlaczego nas zaprosił, jednak znając miejscowe obyczaje, nie odmówiliśmy. Weszliśmy do domu, w którym na podłodze stał niski stół (*dostarchan*), a wokół stołu siedzieli zebrani ludzie. Część leżała na rozłożonych materacach. Domowników było około trzydziestu, w tym cała gromadka dzieci. Usiedliśmy i gospodyni od razu poczęstowała nas bulionem z gotowanego na *beszbarmak* mięsa barana. Tłusty, bardzo tłusty. Następnie przyniosła dużą tacę z *beszbarmakiem*, który w języku kazachskim oznacza pięć palców, a więc to, że potrawę je się rękoma. My dostaliśmy łyżki i talerzyki, pozostali jedli tradycyjnie. Bardzo głodni, zjedliśmy dużo. Potrawa była bardzo smaczna. Po zakończonym obiedzie i odpoczynku gospodarz odwiózł nas do pobliskiego (80 km) miasteczka, gdzie się zatrzymaliśmy.

W czasie obiadu niewiele zrozumiałam, ponieważ wszyscy mówili po kazachsku, ale w drodze powrotnej dowiedzieliśmy się, że gospodarz zabił jednego ze swoich baranów i ofiarował go dla swojej córki, aby ta miała dużo potomstwa.

Kazy i *dambra*

Kazachstan jest krajem bardzo rozległym i różnorodnym. Przeważająca część to stepy i równiny, na których latem powiewa wysoka trawa niczym falujące morze. Zimą step okrywa gruba warstwa śniegu, a mróz skrzypi pod nogami.

Na południu kraju znajdują się wysokie, dochodzące do czterech tysięcy metrów góry. Jest to pasmo azjatyckich gór Tienszan. Zachód to teren półpustynny, na którym możemy zobaczyć stada wielbłądów i spróbować *szubatu*.

Aby przemierzyć ten rozległy kraj potrzeba dużo czasu. Mieszkańcy Kazachstanu, udając się w podróż najczęściej wybierają pociągi, zawsze pełne, a bilety są wyprzedane na półtora miesiąca wcześniej.

Podróż szybkim i drogim pociągiem z Karagandy do Ałmaty trwa 12 godzin, a w wersji tańszej 16. Wszystkie pociągi w Kazachstanie mają miejsca leżące. W nowszych wersjach tzw. pociągu hiszpańskiego miejsce leżące można złożyć i powstają 2 miejsca siedzące. Stare pociągi mają tylko kuszetki.

Miejsce można kupić w wersji *coupé* – czyli w przedziale, gdzie znajdują się cztery miejsca leżące, lub w tzw. wersji *plackard* – czyli takim otwartym wagonie, bez przedziałów.

Jak zawsze wybieram wariant pociągu tańszego i oczywiście wagon otwarty. Pomimo tego, że w tak małym i ciasnym wagonie spotyka się wiele osób i każdy ma swoje łóżko, to wszyscy znajdują przestrzeń dla siebie. Ktoś śpi, ktoś inny ogląda filmy, a jeszcze inny czyta albo gra na *dambrze*. Jedni się modlą, inni śpiewają. Dzieci jak zawsze biegają. *Plackard* ma magiczną moc. W tym zamieszaniu można poznać nowych ludzi, usłyszeć wiele ciekawych opowieści, które ciągną się do rana. A podróż mija bardzo szybko.

W pociągu panuje też zwyczaj dzielenia się jedzeniem. Kazachska gościnność nie ogranicza się tylko do domu. Do pociągu należy zabrać ze sobą jedzenie, smakołyki, które każdy podróżny może położyć na wspólnym stoliku. Noc, połowa pasażerów śpi, a przy naszym stole opowieści i oczywiście kazachskie kiełbasy – *kazy*, chleb i *kumys*.

Kazachowie uwielbiają opowieści, rozmowy, a jak ktoś jeszcze ma *dambrę*, to będą grać i śpiewać do rana.

FRYZURA I BUTY NA OBCASIE

Najtrudniejsze dla mnie w pracy w Karagandzie są zima i wszechogarniające zimno. Kiedy jeszcze przed przyjazdem powiedziałam znajomym o tym, że jadę do pracy do Kazachstanu, to usłyszałam kilka razy: „...a to tak naprawdę jedziesz tam na zimę." Pomyślałam, trudno, jakoś będzie. Pakując walizkę, włożyłam ciepłe ubrania, a zimową kurtkę założyłam na siebie. Także z podpowiedzi innych wiedziałam, że ubrania kupię na miejscu. Było w tym trochę racji, ale tylko trochę.

Po przylocie pod koniec września, ta polska zimowa kurtka była już odpowiednia. Pamiętam, że było mi tak zimno, że mogłabym założyć wszystko to, co miałam w walizce. Trzeba iść na bazar, pomyślałam. Zakupiłam ocieplane rajstopy, skarpety i rękawiczki z sierści wielbłądziej, czapkę także wełnianą, kurtkę puchową. Do tego dobre buty z grubymi wkładkami. Byłam szczęśliwa i było mi ciepło.

Tak opatulona, zadowolona, poszłam do szkoły, gdzie miałam prowadzić lekcje języka polskiego dla Polonii. Na początku pani dyrektor zaprosiła mnie do gabinetu i oznajmiła, że w pracy obowiązuje *dress code*. Do pracy w szkole należy przychodzić w sukience, w butach na obcasach, należy mieć ułożone włosy i pomalowane paznokcie. To mnie zaskoczyło. Pomyślałam: przecież ja tu zamarznę!

To było dziesięć lat temu. Klimat się zmienił i tu w Kazachstanie. Nie ma już długich, bardzo mroźnych zim. Śnieg nie zakrywa dachów domów. Ale jest zimno, i to jest trudne.

W Kazachstanie panuje kontynentalny klimat. Mroźne zimy, gorące lata. Wiosna i jesień są, ale bardzo krótko. Co za tym idzie, mieszkańcy muszą wyposażyć się w całą garderobę ubrań, dostosowanych do bardzo niskich temperatur, poniżej 40 stopni, silnych wiatrów i śniegu oraz na niezwykle gorące lato ze słonecznym żarem, dochodzącym do plus 40 stopni.

KAZACHSKI TOJ

Toj w języku kazachskim oznacza rodzinną uroczystość. Może to być wesele, jubileusz, narodziny dziecka, pierwszy roczek dziecka. *Toj* prezentuje kazachskie tradycje, obrzędowość, kuchnię, stroje, ale także ich naturę i temperament.

Kazachowie wywodzą się z *dżusów*, czyli rodów. Takie rody w Kazachstanie są trzy. Najważniejszy jest ród najstarszy, zamieszkujący południe kraju. Rodziny są bardzo liczne. Pradziadkowie, dziadkowie, kuzyni bliżsi i dalsi. Wszyscy zawsze obowiązkowo zapraszani są na uroczystości rodzinne. Nawet jeśli ro-

dzina mieszka na drugim końcu kraju, to przyjadą wszyscy zaproszeni. Tak, na zaproszenie przyjeżdżają wszyscy. Nie można odmówić. Trzeba przyjechać.

Na *toj* przyjeżdżają nawet najdalsi krewni. Taka uroczystość tu w Karagandzie organizowana jest na 300, a nawet 400 osób, a na południu Kazachstanu *toje* są jeszcze liczniejsze. Najwięcej gości przychodzi na wesela, ale i podczas innych gości jest bardzo dużo. Ważną tradycyjną, kazachską uroczystością jest *тұсау кесу*, gdy dziecko kończy roczek. Przyjęcie to najczęściej organizują dziadkowie.

Tradycją Kazachów jest spóźnianie się. Jeśli zostaliśmy zaproszeni na godzinę 14:00, to uroczystość rozpocznie się o 16:00 lub później. Gospodarze nie rozpoczną, dopóki wszyscy goście nie przyjdą. Kto przychodzi na czas, ten może już zacząć jeść, ponieważ na stole czekają przekąski, a kelnerzy roznoszą najczęściej *kumys*. Jest też okazja do zapoznania się i zaobserwowania, w co ubrani są goście.

Mężczyźni przychodzą w garniturach, a kobiety najczęściej zakładają sukienki z dodatkami ornamentów i biżuterii kazachskiej. Starsze pokolenie na *toj* zawsze obowiązkowo ubiera się w tradycyjne stroje. Konieczne, aby była biżuteria i to złota.

Gdy już wszyscy się zgromadzą, zaczyna się uroczystość. Na początku przywitanie gości i podziękowanie, że tak licznie przyjechali. Następnie obrzęd: rodzice dziecku obwiązują nóżki biało-czerwonym sznurkiem, następnie podtrzymując stawiają na dywanie. Najstarsza osoba z rodziny, przecina sznurek, a rodzice prowadzą dziecko, trzymając je za ręce. Na końcu drogi położone są przedmioty: *dambra*, samochód, klucz, pieniądze, książka. Dziecko wybiera jeden przedmiot. Jeśli wybrało książkę, to zostanie uczonym, a jeśli *dambrę,* to muzykiem. Obrzęd ten obserwują z zaciekawieniem wszyscy goście.

Następnie zaczyna się uroczystość, którą inaugurują tańce kazachskie w wykonaniu grupy tancerek. Podane zostaje pierwsze danie ciepłe, czyli obowiązkowo *beszbarmak.* Są tańce, konkursy i zaczynają się toasty. Każdy gość

zobowiązany jest wstać i powiedzieć życzenia oraz dać prezent (najczęściej są to pieniądze). Jedni goście wznoszą toast przez 10 minut, a inni przez pół godziny. Uroczystość prowadzi *tamada*, czyli polski wodzirej.

Na stoły trafiają kolejne danie ciepłe – będzie to *płow* lub *manty*. Kelnerzy dolewają *kumysu.* Na *tojach* nie ma alkoholu. Nie ma też, niestety, kawy. Na deser podane jest ciasto oraz herbata z mlekiem.

Tak jak w Polsce na wesela przychodzimy w parach, tak na kazachski *toj* zaproszenie otrzymuje się pojedynczo i nie przychodzi z osobą towarzyszącą. Wszyscy bawią się wspólnie.

Tańce, zabawy, gry pokazują jak Kazachowie są roztańczeni, rozśpiewani. Zarówno młodzi jak i starsi tańczą. *Toj* pokazuje także ich więzi rodzinne i to, że rodzina jest podstawą, szacunek do starszych rodu, dla gości, ale także ogromną miłość do dzieci.

Na zakończenie każdy gość otrzymuje pamiątkowy prezent. Mogą być to kazachskie filiżanki, czyli *kisiuszki*. *Toj* kończy się po północy.

NAURYZ – ŚWIĘTO KULTURY I TRADYCJI

W równonoc wiosenną, tj. 22 marca, w Kazachstanie świętowany jest *Nauryz*, czyli Nowy Rok. Święto trwa 3 dni. Jest to wyjątkowy

czas, ponieważ właśnie wtedy można zobaczyć wszystkie tradycje kazachskie. Można posmakować kazachskich tradycyjnych potraw, zobaczyć ich piękne stroje oraz np. tradycyjne gry w kości czy podnoszenie barana. Jest to największe święto dla Kazachów.

W centrum miasta stoją *jurty*, czyli tradycyjne domy koczowników ze stepu, w których prezentowane są obrzędy. Uczestnicy mogą wejść i obejrzeć przedstawianą tradycję. Mężczyźni rywalizują w sportowych grach, takich jak rzucanie kości, podnoszenie barana, zapasy na rękę, walki, przeciąganie liny. Kobiety zajęte są przygotowywaniem potraw. Sprzedają także wyroby rzemieślnicze, ozdoby, biżuterię, tradycyjne rękodzieło. Wieczorem odbywają się koncerty.

TOŻSAMOŚĆ

Bycie Polką w Kazachstanie to podróż przez różnorodne krajobrazy kulturowe i społeczne. To odkrywanie nieznanego i adaptacja do nowych realiów, równocześnie pielęgnując własną tożsamość. Wraz z każdym krokiem w tym fascynującym kraju poznaję głębię jego historii, tradycje i ludzi.

Nowe miejsce, nowe wyzwania. Na początku może być trudno porozumieć się w nowym języku i zrozumieć subtelności kulturowe. Ale z czasem, wraz z wysiłkiem, budowane są mosty komunikacji i zrozumienia, tworząc więzi z lokalną społecznością. Moja polska tożsamość staje się częścią mozaiki kulturowej Kazachstanu.

Być Polką w Kazachstanie to również szansa na dzielenie się swoją kulturą z innymi. Poprzez organizowanie polskich świąt i festiwali, warsztatów kulinarnych czy tanecznych, można wprowadzać nowe walory do lokalnej społeczności. Jednocześnie jest to szansa na osobisty rozwój. Poznawanie nowych perspektyw, adaptacja do zmieniającego się otoczenia, uczenie się języka i przystosowanie do lokalnych zwyczajów – to wszystko kształtuje mnie jako jednostkę. Moja podróż staje się historią, która wzbogaca moje życie i życie innych wokół mnie.

W końcu, być Polką w Kazachstanie to także noszenie ze sobą dumy ze swojego dziedzictwa. To ciągłe przypominanie sobie o korzeniach, które definiują moją tożsamość. Może to być trudne w obliczu codziennych wyzwań, ale jednocześnie stanowi siłę, która napędza do działania i budowania lepszego jutra. To nie tylko odkrywanie nowych lądów, ale także odkrywanie siebie na nowo. Jest to podróż pełna niespodzianek, ale również pełna możliwości rozwoju i wzajemnego zrozumienia.

Noty o autorach

MICHAŁ BASIAK

Absolwent Lingwistyki Stosowanej oraz studiów podyplomowych w Centrum Polonicum na UW, a od lutego 2024 lektor języka polskiego na Uniwersytecie Federalnym Stanu Parana w Kurytybie (Brazylia). Jego główna pasja to nauka języków obcych, poza tym interesuje się również dydaktyką alternatywną, socjolingwistyką, a prywatnie także międzykulturowością, architekturą i podróżami z plecakiem.

JUSTYNA KLYSZCZ-BOCHNIAK

Absolwentka romanistyki na Uniwersytecie Jagiellońskim, gdzie ukończyła też NJPJO. Lektorzyła w Clermont-Ferrand. Uczy języka polskiego i kultury na Uniwersytecie Mohammeda V w Rabacie. Od kilku lat z wielkim zaangażowaniem, choć marnym skutkiem, uczy się marokańskiej daridży.

RADOSŁAW BUDZYŃSKI

Uwielbia stare książki, nowe filmy oraz białą kawę. Znajomość tureckiego: to skomplikowane (ale bardzo się staram!). Absolwent studiów literaturoznawczych na Uniwersytecie Jagiellońskim. Studiował również bałtystykę na Uniwersytecie Warszawskim oraz w SSEES UCL. Pracował w Kazachstanie, Kirgistanie oraz na Ukrainie, obecnie pracuje na Uniwersytecie Stambulskim. Współpracuje z Przeglądem Bałtyckim. Jego książka „Historyk z Inflant Polskich. Gustaw Manteuffel 1832-1916" otrzymała Nagrodę Przeglądu Wschodniego za 2023 rok.

TOMASZ EWERTOWSKI

Dr hab., polonista, slawista, literaturoznawca. Wykładowca języka i kultury polskiej na Szanghajskim Uniwersytecie Studiów Międzynarodowych (SISU), absolwent Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Jego zainteresowania naukowe koncentrują się na historii podróżopisarstwa, ze szczególnym uwzględnieniem XIX-wiecznych podróży do i po Azji. Pełnił funkcję kierownika dwóch grantów finansowanych przez Narodowe Centrum Nauki. Autor m.in. książki „Images of China in Polish and Serbian Travel Writings (1720–1949)" (Leiden 2020).

JUSTYNA GUZIAK

Ukończyła polonistykę ze specjalizacją teatrologiczną na UAM w Poznaniu oraz TESOL w Sydney. Uczy z powołania. Lektorzyła w Samarkandzie, Ułan Bator, Sydney, Nowym Delhi, Bangkoku, Tbilisi, Manipalu, obecnie w Grenoble. Ponieważ wierzy, że przypadki istnieją tylko w gramatyce, studiuje astrologię, a w wolnych chwilach pisze. Autorka opowieści podróżniczych „Koczownica".

DARIUSZ KASPRZYK

Lektor języka polskiego na Uniwersytecie Alexandru Ioana Cuzy w Jassach, w Rumunii (lata 2014-18, 2019-obecnie). Ukończył studia z zakresu filologii klasycznej na Uniwersytecie Jagiellońskim, a następnie Podyplomowe Studia Kwalifikacyjne Nauczania Kultury Polskiej i Języka Polskiego jako Obcego na Uniwersytecie Śląskim w Katowicach, a także Podyplomowe Studia Służby Zagranicznej na SGH w Warszawie. W życiu ma dwie główne pasje: uczenie i podróżowanie, a praca lektora pozwala mu je znakomicie łączyć.

MAGDALENA KNAPIK

Absolwentka filologii polskiej Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach, lektorka języka polskiego w SjiKP UŚ od 2004 roku, wykładowca studiów podyplomowych oraz Akademii Dyplomacji (w zakresie Gruzji), od 2023 roku lektorka NAWA na Państwowym Uniwersytecie Ilii w Tbilisi. Zajmuje się szczególnie zagadnieniami kultury polskiej, kuchnią polską, wiedzą o Polsce oraz autorskimi escape roomami w dydaktyce.

AGNIESZKA MIKULEC

Z zawodu polonistka, z zamiłowania podróżniczka, a dzięki połączeniu tych cech animatorka kultury polskiej w kraju i za granicą. Ma na swoim koncie publikacje dydaktyczne, m.in. dla Narodowego Instytutu Audiowizualnego i wydawnictwa Rubikon. Pracowała w Gagauzji (Mołdawia) dla tamtejszej Polonii. Współtworzyła lektorat języka polskiego na Uniwersytecie Ekonomicznym w Taszkencie (Uzbekistan), gdzie pracuje do dzisiaj.

KINGA PIĄTKOWSKA

Absolwentka filologii germańskiej na Uniwersytecie Warszawskim i podyplomowych studiów w dziedzinie nauczania JPJO na Uniwersytecie Śląskim w Katowicach. Dyplomowana pedagog Montessori. Doktor nauk humanistycznych ze specjalizacją medioznawstwo (obrona pracy doktorskiej na Uniwersytecie Humboldtów w Berlinie). Pedagog z powołania i z serca. Od 2015 roku prowadzi Centrum Języka Polskiego i Kultury Polskiej na Państwowym Uniwersytecie w Bielcach, w Republice Mołdawii.

MARCIN RAIMAN

Z wykształcenia hungarysta i portugalista. Po wielu latach uczenia się języków obcych postanowił spróbować swoich sił w zawodzie lektora języka polskiego, w którym pracuje od 2011. Pierwsze doświadczenia lektorskie zdobywał w dalekiej Kurytybie, a od września 2022 przybliża Polskę, jej język, historię i kulturę studentom i studentkom w o wiele bliższym, ale równie ciekawym estońskim Tartu.

Kroomen

ROBERT ROMANOWICZ

Architekt z wykształcenia z wieloletnim doświadczeniem. Obecnie mieszka we Wrocławiu, gdzie zajmuje się malarstwem, ilustracją książkową, scenografią.
To właśnie architektura ukształtowała graficzne spojrzenie na sztukę. Jego malarstwo jest wynikiem wieloletnich poszukiwań, eksperymentów z mediami oraz stosowania różnych metod ekspresji. Wszystko to złożyło się na obecny dorobek, pozwoliło mu osiągnąć niepowtarzalny styl i stać się rozpoznawalnym.
Behance: https://www.behance.net/robertromanowicz
Robert Romanowicz Art: https://www.facebook.com/RobertRomanowiczPantone
Thief of chairs: https://www.facebook.com/profile.php?id=100064152034267
Misza i Grisza: https://www.facebook.com/MishaGrishaByRobertRomanowicz

RENATA SIEGIEŃ

Absolwentka polonistyki i bibliotekoznawstwa na Uniwersytecie Szczecińskim, ukończyła tam też podyplomowo logopedię szkolną, a glottodydaktykę na UAM. Uczy od lat, przez lata w polskiej szkole. Od 2018, w ramach stypendium NAWA, jest lektorką w Instytucie Polonistyki Kantońskiego Uniwersytetu Spraw Międzynarodowych na południu Chin. Uczy, jeszcze się uczy i lubi to i to. Promuje Polskę wszędzie, gdzie się znajdzie, a lubi znajdować się w różnych ciekawych miejscach świata.

JUSTYNA SZCZEPANIAK

Absolwentka filologii polskiej Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach i podyplomowych studiów nauczania języka polskiego jako obcego w SJiKP UŚ. Od 2016 roku lektorka na uniwersytecie w Bukareszcie, w Rumunii. Interesuje się literaturą polską i nowymi metodami nauczania języka polskiego jako obcego.

PAULINA TABOR

Lektorka języka polskiego na Uniwersytecie Północno-Wschodnim w Shenyang (Chiny). Ukończyła filologię angielską, program tłumaczeniowy z językiem chińskim, a także studia podyplomowe z nauczania JPJO. Interesuje się poezją, kinem europejskim i azjatyckim, nauką języków obcych oraz hermeneutyką. W wolnym czasie lubi organizować wycieczki rowerowe na łonie natury oraz uczęszczać na zajęcia bachaty i kizomby (zajęcia taneczne).

IWONA TOCZEK

Nauczycielka języka polskiego oraz kierownik Szkolnego Punktu Konsultacyjnego przy Ambasadzie RP w Trypolisie, potem w Lyonie. W 2013 roku skierowana do pracy dydaktycznej przez Ośrodek Rozwoju Polskiej Edukacji za Granicą do Karagandyjskiego Obwodowego Stowarzyszenia Polaków „Polonia" w Kazachstanie, a od 2014 roku również lektorka NAWA na Uniwersytecie E.A. Buketova w Karagandzie. W 2023 roku odznaczona Medalem Komisji Edukacji Narodowej. Miłośniczka polskiego folkloru, fotografii i górskich wędrówek.

PROF. TOKIMASA SEKIGUCHI

Absolwent romanistyki i kulturoznawstwa na Uniwersytecie Tokijskim. Wykładał polonistykę na TUFS. Autor książek, m.in. „Eseje nie całkiem polskie" (2016). Zdobył liczne nagrody i odznaczenia za tłumaczenia literatury polskiej na japoński – m.in. Odznakę honorową „Zasłużony dla Kultury Polskiej", „Krzyż Komandorski Orderu Zasługi RP", Srebrny Medal „Zasłużony Kulturze Gloria Artis" i japońską nagrodę literacką The Best Translation Award za przekład „Lalki" Bolesława Prusa, Nagrodę Stowarzyszenia Związku Autorów i Kompozytorów Scenicznych ZAiKS, Nagrodę „Transatlantyk" Instytutu Książki i wiele innych.

MIŁOSZ WALIGÓRSKI

Lektor języka polskiego w Nowym Sadzie. Poeta, prozaik, tłumacz. Laureat Nagrody im. Adama Włodka (2015), Bydgoskiej Nagrody Literackiej „Strzała Łuczniczki" (2018), Nagrody „Literatury na Świecie" (2023) oraz wyróżnienia „Zechenter 200" (2024) przyznanego za propagowanie literatury słowackiej za granicą. Przełożył ponad dwadzieścia książek z serbsko-chorwackiego, węgierskiego, słowackiego i łotewskiego. Wydał kilka tomów poetyckich i książek prozatorskich, ostatnio *Pięć i pół kobiety* (PIW, 2022).

PROF. YI LIJUN

Profesor i promotor doktoratu Katedry Języka Polskiego na Pekińskim Uniwersytecie Języków Obcych. Studiowała literaturę chińską na Wydziale Filologii Chińskiej na Uniwersytecie Wuhan, a następnie polonistykę na Uniwersytecie Warszawskim. Od 1962 roku pracowała na Wydziale Języków Wschodnioeuropejskich (obecnie Wydział Języków i Kultur Europejskich Pekińskiego Uniwersytetu Języków Obcych). Profesor Yi Lijun zajmowała się nauczaniem języka polskiego, tłumaczeniem i badaniami literatury polskiej. Jest autorką antologii pt. *Literatura polska* oraz *Literatura polska powojenna*. Do jej dorobku translatorskiego należą m.in.: *Dziady*, *Pan Tadeusz*, *Ogniem i mieczem*, *Potop*, *Pan Wołodyjowski*, *Sława i chwała*, *Ferdydurke*, *Prawiek i inne czasy* oraz *Dom dzienny, dom nocny*. Otrzymała wiele wyróżnień, w tym nagrodę translatorską Transatlantyk (2012). Za swoją wybitną działalność na rzecz kultury polskiej została w 2000 roku nagrodzona przez Prezydenta RP Krzyżem Kawalerskim Orderu Zasługi Rzeczypospolitej Polskiej. W 2004 roku otrzymała Medal Komisji Edukacji Narodowej, a w 2007 roku Dyplom Ministra Spraw Zagranicznych RP oraz tytuł doktora honoris causa Uniwersytetu Gdańskiego.

PAWEŁ ZACHAREWICZ

Absolwent filologii polskiej, doktor nauk humanistycznych UMCS, literaturoznawca. W latach 2004-2008 lektor języka polskiego oraz wykładowca literatury współczesnej na Uniwersytecie Ankarskim w Turcji. W 2017 roku przyjechał do Chin pomóc otworzyć polonistykę na Uniwersytecie Studiów Międzynarodowych w Xi'anie (XISU), pomaga do dziś. Interesuje się historią idei, wschodnią ontologią poznania, psychologią transpersonalną i ciszą. Uwielbia podróże i nauczanie: *to jak przeglądanie się w setkach luster*. Jest autorem tomików poezji: *Korowód słońca* (Lublin 1993), *Tespih w czas zaćmienia* (Radzyń 2012/2022), *Pieśń o iluzji* (Kraków 2013) oraz monografii o literaturze współczesnej: „W stronę nowego paradygmatu" (szkice o twórczości Wata, Gombrowicza, Stachury, Miłosza i Tokarczuk, Toruń 2008).

ZHAO WEITING

Polonistka, tłumaczka literatury polskiej, absolwentka filologii polskiej Pekińskiego Uniwersytetu Języków Obcych, doktor nauk humanistycznych Uniwersytetu Śląskiego w dyscyplinie literaturoznawstwo. W latach 2019-2023 wykładowczyni języka polskiego na Pekińskim Uniwersytecie Sportowym. Od marca 2024 roku pracuje w Instytucie Polskim w Pekinie. Publikowała artykuły m.in. w dwurocznik „Spotkania Polonistyk Trzech Krajów – Chiny, Korea, Japonia", „Gdańskie Studia Azji Wschodniej", „Transfer. Reception Studies". Publikowała recenzje m.in. w „Dziennik Pekiński" i „Dziennik Hunański". Przetłumaczyła na język chiński książkę Czesława Miłosza *Piesek przydrożny* oraz wiersze w tomie *Wybór europejskiej poezji antyfaszystowskiej*. Współredaktorka *Słowniczka przysłów krajów Europy Środkowo-Wschodniej*.

NARODOWA AGENCJA
WYMIANY AKADEMICKIEJ